



100	36
20	25
20	20
100	100
<hr/>	
100	100

Ja wiem, takie są  
 warunki i stare,  
 w których tych miłych  
 ludzi i stare

ENTUZJASTKA



100	36
20	25
20	30

~~100~~  
~~101~~

+

Ja sam tu takie very  
nie baskie i stare, a  
w sercu tych miedzy wiek  
nie baskie i stare

ENTUZJASTKA



AL. LEŚNIEWSKA

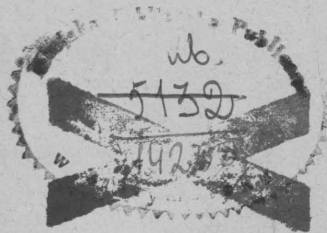
# ENTUZJASTKA

Powieść dla Młodzieży  
Z NIEDALEKIEJ PRZESZŁOŚCI

*Dublet 5132*

KSIEGARNIA  
L. KAGANA  
Białystok, ul. Sienkiewicza 5

NAKŁADEM AUTORKI  
WARSZAWA 1912.



884-311.2

S

K.

R. 53

10/1. 46

## SŁOWO WSTĘPNE.

*„Czyny ludzkie są to jedyne rzeczy, będące w naszej możliwości.“*

Brzmia te słowa myśliciela angielskiego, S. Smiles'a, zarówno poczuciem ludzkiej niemocy, jak i ową siłą niezużytą, człowiekowi przyrodzoną, która zapewnia mu nie tylko panowanie nad światem, ale stanowi dlań zarazem ostoję bezpieczną, — jest snopem światła, rozpraszającym cienie, — jest czemś najbardziej zbliżonym do szczęścia.

Bo jeśli nieodzownym warunkiem szczęścia być musi zadowolenie wewnętrzne, duchowa niezmacona pogoda, — to i ową pogodę bezchmurną i owo zadowolenie daje człowiekowi tylko *czyn*, czyn użyteczny, dobry, będący owocem życia jednostki.

Już samo przyłożenie dłoni do dobrej sprawy jest dźwignią życia ludzkiego.

Sumią nad człowiekiem wichry doli prze-różnej: cierpienia fizyczne, niedostatki mate-

ryalne, ciężkie warunki społeczne, pogasłe nadzieje, wspomnienia wielkiej przeszłości, — wreszcie te tysiączne, drobne, ale codzienne przykrości — mącą pogodę życia, wytrącają ludzi z równowagi, goryczą zaprawiają każdą chwilę krótkiej pielgrzymki człowieka.

Dla nas ta pielgrzymka jest o tyle trudniejsza, że wychowała nas przeszłość smutna i ciężka.

Pozbawiony od końca ośmnastego wieku politycznej samoistności kraj nasz, miotany był prądami najróżnorodniejszymi. Wykreślony z pośród mocarstw europejskich, utracił jakoby kształt swój zewnętrzny, cielesny, — przestał istnieć jako państwo, — a żył tylko intelektualną, skrytą siłą swej prastarej odrębności.

To, co w głębi narodowego ducha było zdawna nurtem najsilniejszym: miłość kraju, odwaga i ofiarność, — owo gorące tętno polskiego serca, — słabnące niestety i stygnące już od epoki Wazów, a potem w okresie rządów obu Sasów prawie niedostrzegalne, — pod koniec panowania Stanisława Augusta poczęło się wzmacniać i bić pulsem wyraźniejszym i głębszym.

Konfederacja Barska, choć na szali politycznych dziejów naszych zaważyła mało, — to jednak w życiu dziejowym narodu była jak drgnienie budzące z letargu. W letargu bowiem pogrążony był nasz naród przez długie dzie-

siatki lat. Ani wielki Batory, ani rycerski Władysław IV nie mogli ocucić kraju. — Marł w tym letargu nasz patriotyzm, nasze bojowe męstwo, nasz polityczny rozum; prywatnie i zmaterjalizowanie ogarnęły całą Polskę i przydużyły nieliczne głosy, przewidujące zbliżającą się katastrofę.

Dopiero trzask walącego się w gruzy i leżącego w przepaść państwa zbudził naród...

Zaszumiały sztandary — Naczelnik stanął na czele, chłopskie dłonie pochwyciły kosy, rycerstwo podniosło szable: — i oto pierwsze krwawe krople obroczyły tę kolczastą koronę, która wic się już wtedy poczęła, zastępując nam dawny, na czoło Chrobrego włożony złoty symbol królewskiego majestatu.

I potoczyły się lata duszne, ciężkie; naród utracił swą własność, był jak człowiek chory, jak ktoś ogłuszony, nie orjentujący się zrazu w położeniu. Nowym władcom kraj płacić musiał wielkie haracze, ubożał materialnie i moralnie, gasł w nim zdrowy, jedyny duch, zwątpienie, gorycz, rozpacz, wreszcie apatya zalewać poczęły i wyjaławiać bujną dawniej i żywą duszę polską.

Nie wszyscy jednak zwątpili o przyszłości i nie wszyscy pogodzili się z twardą rzeczywistością.

Oto wielkie dobro człowieka, — oto kotwica chroniąca istotę ludzką od rozbicia: *czyn* do-



brotliwą swą dłonią począł zażegnywać i zablizniać rany śmiertelne narodu.

Henryk Dąbrowski, jeden z największych bohaterów polskich, gromkim głosem zwołał ku sobie młodź polską! Tchnienie nadziei ożywczo powiało nad krajem, i oto legiony polskie stały na włoskiej ziemi. — Orłom Napoleona te rycerskie zastępy służą, za sprawę Francji oddają życie, — ale ponad wojenną kurzawą, poprzez dymy i znój bitew śmiertelnych przebijają się jasne promienie tej gwiazdy, którą krzesać poczęło działanie Dąbrowskiego. Już ku czynom legionistów zwracają się teraz oczy narodu, patrzącego tylko w swe rany, wyczuwającego tylko swój ból.

Nie istnieliśmy wtedy jako państwo, z mapy Europy wykreślony był nasz dawny, polityczny kształt; żyliśmy wówczas jednak w męstwie legionistów, Polska widomie istniała pod Saragossą, — słyszała Europa jej głośnie „jestem“ w wąwozach Somo-Sierry, — kraj nasz trwał w podziwie ludów, które zdumiewało polskie męstwo i ofiarność legionistów. — Materyalne podwaliny kraju runęły, zniszczone były i zdeptane, ale honor narodu unosił się nad ruiną. Z nad spienionych fal Elstery, w których tonął przeszyty kulami bohaterski książę Józef, znowu wesóło wzbila się dawna cześć Rzeczypospolitej, która przysięgi nie łamie, ni zaufania nie zawodzi.

I lata szły znojne, krwawe. Aż w roku 1815 dzieje rzuciły nam przelotny uśmiech: na wiedeńskim kongresie utworzono Polskie Królestwo Kongresowe. Ciasne były jego ramy, w mikroskopijne państewko wtłoczono naród. Królestwo Kongresowe było wytworem sztucznym, doraźnie nakreślono mu granice, nie potrzeby i stosunki miejscowe ułożyły jego prawodawstwo, — przykrojono mu tylko zewnętrzną szatę i w niej wprowadzono Rzeczpospolitą na widownię dziejową.

Jedną tylko pozostawiono jej własność, jedno dobro: język.

W nim to właśnie, w języku ojczystym, w mowie polskiej uzewnętrzniać się poczyną, realne kształty przybiera ten *czyn*, zabezpieczający naród od śmierci zupełnej, od unicestwienia.

Kto działa, kto czyni, — ten żyje; „dopóty żyję, dopóki pracuję“.

Teraz życie narodu zmieniło formę: nie w ofiarnej śmierci najlepszych swych synów, nie w bojowym męstwie dawała znać Rzeczpospolita, że istnieje. Duch polski przeistoczył się jakoby w lirę i przemówił pieśnią trzech wieszczów. Mickiewicz, Słowacki i Krasiński na wiszącą nad narodem krwawą gałąź cierniową rzucili kwiaty słów, uczuć i myśli. Twórczość polska, jej poezja były piedestałem, na



którym stawał, znowu nasz naród pośród ludów Europy.

Gdy najlepsi synowie Ojczyzny odwagą, krwią, poetyckim geniuszem podtrzymywali płomień narodowego znicza, — cóż się działo z resztą narodu?

Bezstronność każe wyznać, że od tamtych najlepszych — do szarego mrowia polskiego ogółu, przeskok był wielki, różnica zupełna.

Garść ludzi rozumnych, ludzi dobrej woli poczuwała się do obowiązku strzeżenia tego strzaskanego korabia, jakim wówczas był nasz kraj; większość nie potrafiła się długo utrzymać na wyżynie.

Kłęski narodowe, wieloletnie miotanie się, by odzyskać to, co stracono, — głośny, konieczny i naturalny protest przeciw temu, co zaszło, manifestowanie, iż się *jest*, iż się żyje, ujawniające się w legionach, w śmierci Poniatowskiego, w powstańczych ruchach, zmęczyły nasz ogół.

Klasy niższe pogrążone były po dawnemu w ciemnocie, — ciężkie warunki materialne trzymały lud w ciągłym jarzmie; mało owocnej pracy, chłop nie czuł łączności z resztą narodu, — a o wytworzenie tej łączności i starał się nikt w klasach wyższych. Mieszczaństwo, szlachta, większość tak zwanej inteligencji była już wyczerpana i zniechęcona, ogarnęło ją zwątpienie, by warunki kraju uległy

szybko zmianie na lepsze, — zaś na daleką metę wyczekiwania, na oddalone rezultaty mrówczej pracy narodowej — idącej znów jako naturalny objaw po głośnym proteście pierwszych porozbiorowych lat — brakło jeszcze zapалу, sił, chęci i poczucia tej potrzeby, która dziś na polu ekonomicznych usiłowań zdrową krwią zasila narodowy nasz organizm.

Wtedy zasklepiac się poczęto w ciasnych ale wygodnych ramach codziennego życia, w egoizmie, w prywacie. Ubiegano się o uprzyjemnianie sobie chwil, — na lot wyższy mało komu skrzydeł starczyło.

Jednostki umiały tylko korzystać z życia, przetapiając je w czyny trwałe, owocne. Wielki Staszic siał hojną ręką zdrowe ziarna na polską glebę, krzewił oświatę w narodzie, dźwigał dobrobyt, zakładał, ulepszał szkoły, wzywał do naprawy złego. Członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk rozsnuwali światło wiedzy i nauki, a ogół nasz jedynie ograniczał się na przyjmowaniu tego dobra, dobroczyńcę swego cenil, uczonych chwalił, tłumnie na posiedzenia naukowe Towarzystwa uczęszczał, — boć z tego płynęła i chwilowa rozrywka. Ale przede wszystkim chciano żyć wygodnie, swobodnie, — chciano użyć. — Niewątpliwie, że najwygodniej jest na równinach, na nizinach: ni piąć się w górę nie potrzeba, ani upadek z wysokości nie zagraża.

Więc zwolna, zwolna polska niefrasobliwość poczęła się odzywać w narodzie, polska wesołość, stłumiona szeregiem klęsk, zawtórowała jej niespodzianie, — porwało nasz ogół jakieś bezmyślne gonienie za uciechami, zbieranie grosza dla życia wystawnego. Wypaczały się w tem zgiełkliwym życiu charaktery, upadała opinia publiczna, martwota duchowa owładnęła większością naszej inteligencji, która nawet w literaturze szukała tylko rozrywki i zabawy.

Aż oto dwa nurty płynąć poczęły po powierzchni dawnej Rzeczypospolitej: jeden cichy, powolny, głęboki i czysty, kierujący się ku tej gwieździe niegasnącej, co w jego wodach kryształowych odbijając się, siała światło, — drugi szumny, wartki, płytki, ale rozlewający się szeroko, ale zamulony małostkowemi pragnieniami i tanią ambicją.

Łał się ten potok mętny, wzbierał, rósł i coraz szersze zataczał kręgi.

Nie wstrzymała go w szybkim biegu krwawa luna, co rozgorzała nad krajem i położyła kres Królestwu Kongresowemu, bo na czas tylko krótki ów potok bezmyślny zwolnił biegu, wątlął trochę, ale wnet impetu nabral i hałaśliwiej jeszcze, szumniej potoczył się dalej.

Trudy i praca jednostek, choćby najgenialniejszych, są zawsze tylko ziarnem, którego przyszły rozrost zależy od urodzajności gleby, w którą pada. Jeśli ziarno owo w żyzną zajdzie

ziemię, tedy szybko i szeroko rozgałęzi się korzeniami i konarami i setny plon wyda. Najpiękniejszy posiew zmarnieje na nieużytkach, w roli jałowej, pozbawionej soków jędrnych.

Glebą każdego narodu jest jego ludność, jego mieszkańcy; umysł, dusza, wola tego ogółu warunkuje przyjęcie się i rozkwit sięjby, rzucanej przez bogate duchowo jednostki.

Krajowi naszemu już od epoki Sasów groziło wyjałowienie się narodowej gleby, ideały jego skarłały, lenistwo, brak uczuć obywatelskich wzrastały tam, gdzie dawniej świeciła ofiarność, gdzie było męstwo, rozum, odwaga.

Nie jednostka lecz ogół wykuwa dolę swego kraju, ogół jest snycerzem, twórcą swojej historii. — Bez przyczyny nic się nie dzieje, żadna klęska nie spada na naród niespodzianie, przygodnie, jak dachówka na głowę; niewzruszona, żelazna, straszna w swej obojętności logika wypadków — ciągu swego nie przerywa; każde *dziś* ma swoje *wczoraj*, z którego wyrosło i swoje *jutro*, które przyjdzie, — a przyjdzie takie, jakim je czyni dzień dzisiejszy. — Kolczatą gałęź nad narodem naszym uwił naród sam.

Na mętny, płytki, ale coraz szerzej rozlewający się potok małodusznych pragnień, lejący się po powierzchni naszego kraju po roku 1851-ym, spojrzala trzeźwym okiem garść kobiet

rozumnych, wystrzelających głową ponad tłum  
pospolicości.

Niewiast wielkich narodowi polskiemu nie  
brakowało nigdy, szereg ich w naszej prze-  
szłości świeci promieniami strzelistymi.

Dziecko jeszcze prawie, ale dziecko o bo-  
haterskiem, ofiarnem sercu, królowa Jadwiga  
kładzie na ołtarzu narodowego dobra osobiste  
szczęście, — z uśmiechem bolesnym lecz do-  
brotliwym pędzi życie owocne, z którego na  
kraj sieje zdroje pożytku, słodczy i rzetelnego  
dobra. Mężna Chrzanowska zapala gasnącą  
odwagę obrońców Trembowli; Żółkiewska na  
pomoc mężowi hufce rycerskie wieździe; Czar-  
toryska zatłona w sercu własnem i w sercach  
rodaków iskrę patryotyzmu w światło jasne  
choć drobne tchem swej piersi rozdmuchuje, —  
córką jej Marya łączy się z Wirtembergiem,  
by zyskać sprzymierzeńca narodowi, — i wiele,  
wiele jeszcze niewiast polskich rozumnych i od-  
ważnych niesie owoc życia swemu narodowi.

Lecz dotąd działalność kobiet polskich wy-  
stępowała pojedynczo, zamykała się w obrębie  
uczuć i czynów jednostki, — nie była nigdy  
działaniem zbiorowem, ześrodkowującym się  
u jednego ceiu.

Po raz pierwszy ukazują się kobiety polki na  
widowni życia publicznego, występują czynnie  
w sprawach ustawodawczych za czasów Księ-  
stwa Warszawskiego, gdy z inicjatywy księżnej

Czartoryskiej i Maryi księżnej Wirtemberskiej:  
obywatelki polki wzięły na siebie obowiązek  
nadzoru nad sprawą publicznego wychowania  
niewiast.

Dozór nad pensjami, w których nie znano  
dotychczas żadnego rygoru, był nadzwyczaj  
trudny. O wykształcenie panien w ówczesnych  
zakładach naukowych nie starano się zupeł-  
nie, — trochę wiadomości elementarnych, odro-  
bina umiejętności praktycznych, wiele francus-  
czyzny, polor towarzyski, — oto wszystko, co  
dawały wówczas uczennicom swoim nasze pen-  
sye i szkoły.

Ale starania przełożonych, ich wpływ rozumny  
zaczęły powoli nagradzać się dobrym skutkiem.

A gdy płomyk rozniecony publicznem dzia-  
łaniem naszych niewiast, Klementyna Hofma-  
nowa tchnieniem swego pedagogicznego ta-  
lentu, swego serca gorącego i głębokiego ro-  
zumu roznieciła w ognisko szerokie i jasne, —  
ukazywać się poczęły coraz częściej, coraz  
liczniej kobiety polki, pragnące nie tylko błysz-  
czeć w salonie, nie tylko zachwycać strojem  
i dowcipem, — nie być jedynie ozdobą i uwe-  
seleniem dla mężczyzny, — ale dążące do tego,  
by stać się *człowiekiem*, użytecznym współto-  
warzyszem pracy męskiej, usiłujące być je-  
dnostką cenną.

Do szeregu klęsk, sprowadzonych na kraj  
nasz smutnym wynikiem wypadków roku 1831,

należał i ten fakt, że wydalila się zagranicę nie tylko najświetniejsza inteligencja, ale i licznie wielka ilość mężczyzn, których wroga dola rozmiotła po szerokim świecie. Brakło też i w kraju bezsprzecznie mężczyzn szlachetnych, wykształconych, coby siostrą, żonom, córkom swoim mogli przewodniczyć na drodze do udoskonalenia umysłowego i moralnego.

A ci, co pozostali, w znacznej większości zanurzyli się w ów mętny potok życia małostkowego, głośnie zabawy, uciech niskich, który nurtem coraz niebezpieczniejszym jał zalewać dzielnicę dawnego państwa.

Na tę martwość, bezmyślność, na owo duchowe ospalstwo, w jakie pogrążało się zwolna ale dostrzegalnie społeczeństwo nasze, — protestem zrazu cichym, potem coraz głośniejszym, wreszcie potrzebą rozgraniczenia się od onej szarzyzny życia, — odezwały się entuzjastki.

Ideal kroczącej do udoskonalenia ludzkości, gorąca tęsknota do wszystkiego, co wzniosłe, potrzeba zapełnienia sobie życia pracą użyteczną i sięgającą w przyszłość, — były sztandarem, dokoła którego skupił się zastęp kobiet, górujących duchem nad swem otoczeniem.

Umysły i serca tych kobiet niosły się ku wyżynom, — żał im było życie marnować w ciasnym obrębie salonu; ku lotom górnym, ku oddechom czystym rwały się ich dusze. — Bóg, nieśmiertelność, ludzkość, wiedza, patryo-

tyzm, dobro współbraci były tym ideałem, który jak wiew gorący zapalał ich serca. A ideał swój wielbiły aż do entuzjazmu.

*Entheos* — mówią grecy, co znaczy mający w sobie Boga; starożytni przez entuzjazm rozumieli stan duszy wieszczów natchnionych; Platon i Arystoteles nazywali entuzjazmem miłość prawdy. A my? — my wyrazem tym określamy najwyższy stopień wzruszenia, wywołany potężnem pragnieniem osiągnięcia idealnego celu, potrzebę wyrażenia naszego podziwu, uwielbienia dla czegoś wielkiego i wzniosłego.

Jako ów anioł biblijny, zstępujący do martwych wód sadzawki Bethsaidy, dotknięciem skrzydeł przemienia wody stojące w kryniczne źródło żywe i uzdrawiające, — tak i entuzjazm, gdy w duszy człowieka zagości, budzi siły nadzwyczajne, wskrzesza moc duchową, jakoby duch wyższy zasilał człowieka i wywoływał natchnienie.

Szedł ten czysty zastęp kobiet, wiedziony przez wielką poetkę Narcyzę Żmichowską, strącając z siebie pył małostek, w których grzęznął ogół. Trzebiły w sobie entuzjastki próżność, zamięłowanie do światowych uciech, tworzyły jakieś nowe plemię, które rodzi się z dobra, kocha ofiarnie, żyje cnotą, żyje może nie bez cierpień, ale bez walki, bo wszelkie pokusy zwycięża jeszcze przed walką gorący



podmucha entuzjazmu, nakazujący żyć wysoko i pięknie.

Kochały entuzjastki wiedzę, — nauka była tym szczytem świetlanym, ku któremu szły i dokąd wiodły swoje siostrzyce. Im to, zawdzięczając dzisiejsze kobiety uznanie potrzebnej dla nich nauki, — one pierwsze przekroczyły granicę leżącą między wykształceniem umysłowym mężczyzny a kobiety, one prowadziły niewiastę do krainy nauki, do ogniska światła, w którego kręgu żył dotąd tylko mężczyzna.

Poczucie obowiązku, żelazna, niewzruszona potrzeba trwania na tem stanowisku, na którym kobietę stawiają warunki jej życia i jej przekonanie, było jednym z *credo* tych gorących apostołów dobra.

„Choćbyś nie chciała, choćby ci się przykrzyło, choćby ci to nawet sprawiało ból, czyń, bo obowiązek, rozum i serce nakazują.“ Największa słodycz i największa moc płynie ze spełnienia dobrego *czynu*.

Była jeszcze jedna cecha wspólna entuzjastkom, mianowicie: pragnienie polepszenia losu włościan, dźwignięcia ich z niedostatku materialnego i umysłowego. — To, co przodkowie nasi zaniedbali dać swym wydziedziczonym braciom, chciały wynagrodzić i spełnić dla ludu entuzjastki. — Oświata zwrócona ku szarym masom ludowym, kierunek swój zawdzięcza tej grupie kobiet, które działalność swą najczyn-

niejszą rozwinęły w czwartym dziesiątku ubiegłego stulecia.

Cóż więc na ojczystej niwie zrobiły entuzjastki? jaki posiew z ich gorących dłoni padł na lany naszego kraju?

Ten *czyn*, który według Smiles'a jest jedynym przywilejem człowieka, a który dla nas w czasach porozbiorowych jest wyłączną oznaką istnienia ojczyzny, który ujawniał się w bohaterstwie, w pracy, w pieśni najlepszych naszych przodków i dawał znać o życiu narodu, ten czyn entuzjastki chciały wpleść w życie codzienne wszystkich swych współbraci, a przede wszystkim w życie kobiety; chciały nim przygotować grunt dla tych złotych ziarn, które w pewnych odstępach czasu padają z rąk ludzi wielkich i rzadkich.

„A gdy siał będziesz — mówiły one ustami Żmichowskiej — nie lękaj się pełną garścią przed siebie rzucać i tak zaledwie setne ziarno się przyjmie. Jeżeli mało do ręki weźmiesz, coś się na gruncie rodzimym zostanie?“

Ten grunt rodzimy w glebę żyzną przeistoczyć chciały i przykładem swym uczyły, że każda z kobiet na tym gruncie siewcą być powinna użytecznym i niestrudzonym.

A praca ich wydała plon piękny i wczesny. Bo choć gorące żądanie entuzjastek, domagających się głębszej i szerszej nauki dla kobiety, spotkały się z wyraźnym oporem pewnego od-



lamu naszej inteligencji, choć im samym, rzeczniczkom hasel postępowych, nie łatwo było uzyskać od społeczeństwa to, do czego dążyły, — jednakowoż we dwa dziesiątki lat po zawiązaniu się koła entuzyastek, już coraz częściej słyszeć się dają głosy zarówno kobiece jak męskie, żądające dla niewiasty więcej niż dotychczasowe warunki życia jej dawały.

Aż zwolna, zwolna trzebić się poczęły liczne zastępy kobiet pustych, światowych, tu i tam stała przy warsztacie pracy społecznej pracownica sumienna i cel głębszy życiu swojemu wyznaczająca.

Poruszyło się w masach niewieścich; już nie wszystkie ku błyskotkom umysł i oczy zwracały, — zaludniać się począł łąn narodowy. A między żniwiarkami coraz częściej wystrzelały postacie górne, szczytne duchem, umysłem górujące często nad zastępem swoich braci.

Tu i owdzie powieściopisarka, poetka, kobieta lekarka, kobieta uczona nimbem sławy wieńczy swoje polskie czoło. Tak jest w górze, na szczytach; na przyczółach talentów i pracy — a poniżej, tuż nad głębą schyla się coraz liczniej zastęp działaczek cichych, pracowitych i niestrudzonych, na ów łąn pracy narodowo - społecznej, wiedzionych przez entuzystki.

## I.

Cicha, ciepła noc zawisła nad Warszawą, mnóstwo gwiazd iskrzyło się na niebie i świecił księżyc pośród obłoków, odbijając się smugą srebrzystą w wiślanych falach.

Przy otwartem oknie jednej z wązkich oficyń Starego Miasta siedziała szesnastoletnia dziewczynka. Twarz miała piękną o rysach regularnych, oczy duże i myślące. Jej ciemne bujne włosy spływały w dwóch długich warkoczach po żałobnej sukience.

Była to Wicunia Zabłocka.

Przed kilkoma godzinami wróciła z pogrzebu matki. — Tyle łkań, tyle łez niewyplakanych dusiło się w jej sercu... Tłumiła je, dopóki była przy ojcu i przy Stasiu, bo nie chciała im obu rozkrwawiać serc własnym płaczem. To też, kiedy się krzątała przy dzisiejszej wieczery, do której już tylko we troje zasiedli, co moment wznosiła gorącą prośbę do swej ukochanej zmarłej, aby dopomogła jej uciszyć płacz, rwący się z jej piersi.

Dopiero kiedy ojciec i brat udali się na spoczynek, kiedy ona sama znalazła się w swym małym pokoiku, pozwoliła łzom płynąć z oczów i nie tłumila lkań, dobywających się ze ściśniętego serca. Jednak nie płakała długo; cisza tej księżycowej nocy poczęła wnikać do jej duszy, — coś jakby ukojenie szło ku dziewczynce od tych srebrnych promieni księżyca. Łokieć oparła o futrynę okna, dłonią czoło ogarnęła i wpatrzyła się w tarczę miesięczną. I znowu wzrok jej podążył dalej ku gwiazdom, migocącym w ciemnym szafirze nieba.

— Może dusza mamusi płynie teraz pośród tych gwiazd... — myślała — może już za gwiazdami... zbliża się do nieba...

I snuła wciąż swe smutne marzenia.

— Mama była taka dobra, słodka, świeciła pośród nas zupełnie jak słońce...

Przed oczyma osieroconej Wicuni stała postać zmarłej: widzi ją znowu wyraźnie młodą młodą jeszcze i piękną; widzi jej twarz rozumną, pogodną, — zda się, że ją znowu otacza ta utracona na zawsze dobroć matczyna.

— Wszystko, co do niedawna było mojem szczęściem, teraz będzie już tylko wspomnieniem — myśli Wicunia. — Chwile przeżyte z mamusią i jej słowa trzeba mi zachować w pamięci na zawsze. Mama często tak pięknie do mnie mówiła... Jak ona umiała pocieszać

to, co było nieraz przyczyną łez, po jej słowach stawało się źródłem radości...

Oprzędły Wicunię wspomnienia, znikł z przed jej oczu krajobraz daleki; choć wpatrzona w otwarte okno, nie widziała ani Wisły, ani gwiazd mrużących się na niebie; wzrok jej cofnął się jakby w głąb, wpatrywał się w minione chwile życia.

Oto widzi jedną z takich chwil:

Ona sama jest jeszcze dzieckiem prawie, ma lat dwanaście, — stoi obok matki i, tuląc się do jej piersi, płacze serdecznie. Przyczyną zmartwienia jest własna jej sukienka: skromna, ciemna, nie ozdobiona niczem, ot, taka zwyczajna, prosta, bardzo odmienna od tamtych jasnych i bogatych ubrań, które tak ślicznie przystrajają postacie koleżanek jej i różnych panienek znajomych.

Mała Wicunia lka, żali się przed matką, aż wyplakawszy nareszcie wszystkie łzy, zaczyna prosić gorąco o taki właśnie strój piękny i bogaty...

— Nie, Wicuniu — odpowiada matka — ja ci nigdy kosztownej sukienki nie sprawię.

— Czemu, mamusiu, czemu? — pyta w ponownym wybuchu płaczu. — Tamte dziewczynki tak pięknie wyglądają w swoich jedwabiach, takie są szczęśliwe, ach! jak ja im zazdroszczę!..

— Tyś, Wicuniu, od nich szczęśliwsza —

mówi wtedy matka głosem poważnym, ale łagodnym. — Czy wiesz, córeczko moja, dlaczego nas otacza ubóstwo? czemu mieszkamy w tych małych, skromnych, pokoikach Starego Miasta?— Oto dlatego, że ojciec wasz wszystko, co miał, cały swój majątek oddał na sprawę narodową; kraj potrzebował ratunku, więc twój ojciec poszedł ratować go mieniem swoim i ramionami własnymi; niejedna szabla, skrwawiona na Racławickich polach, nabyta była za to właśnie, co wasz ojciec po swoich przodkach odziedziczył. — Wszystko, wszystko poświęcił on sprawie, i majątek swój i swoje siły. Ty, Wicuniu, z twej skromnej sukienki cieszyć się powinnaś, bo nasze ubóstwo jest dla nas źródłem wielkiego szczęścia, ono jest jak klejnot szlachecki, jak mitra książęca nad naszym imieniem...

Ach, jak Wicunia dobrze tę chwilę pamięta, prawie odczuwa jeszcze zstępujące wtedy do dziecięcego jej serduszka płomyki gorące, od których zapalać się w niej zaczęła miłość dla ojca, budził się zachwyt pełen uwielbienia wdzięczności. I wtedy również pokochała i te skromne swoje sukienki, źródło dawniejszych jej utrapień i lez dziecinnych.

Wtedy zrozumiała także, dlaczego matka młoda jeszcze i bardzo piękna, tak kocha ich ojca, choć postać jego pochyła się, nie od od wieku wprawdzie, ale trosk i pracy; choć

włos jego zaczyna srebrzyć się na skroniach a twarz jego żółknie i więdnie.

Więc Wicunia, wspomniawszy już o poprzednich strapieniach swoich, zapytała matki:

— Mamusiu, ty kochasz ojca dlatego, że on szlachetny. że taki dobry, że patriota wielki, prawda?

— Tak, Wicuniu, bo na ludzi trzeba patrzeć oczyma duszy, a nie tylko wzrokiem fizycznym.

Teraz, szesnastoletnią będąc dziewczyną, ona pojmuje, że ta ukochana zmarła zawsze i na wszystko w życiu tak właśnie patrzyła.

Jeśli zmartwienie jakiegokolwiek spadło na ich rodzinę, bądź choroba, bądź niepowodzenie jakie, czy to przykreść wielka, na ustach matki zjawisło się zawsze: „Trzeba to znieść cierpliwie i mężnie, — trzeba znieść dla Chrystusa Pana“. — I prowadziła Wicunię i braciszka jej Stasia, przed obraz Ukrzyżowanego i kazała im wpatrywać się w Jego twarz męczeńską w Jego oczy krwią zalane, ukazywała im rany Chrystusa, mówiąc do obojga: „Zbawiciel te wszystkie cierpienia zniósł dla nas, abyśmy mniej cierpieli; Jego ciało darły ciernie ostre przebijały tępe gwoździe, aby nas uchronić od śmierci wiecznej; On konał na krzyżu w bólu straszliwym, zbiczony krwią, konał w opuszczeniu i hańbie... dla nas, za nas, za całą ludzkość... — I czemuż jest nasze cierpienie w po-

równaniu z Jego bólem? Oto jeden maleńki cień miast w Jego bolesne ciało, wpił się dzisiaj w nas, — i my tej rany za Chrystusa Pana nie mamy znieść? Czyż się będziemy skarżyć? czy wolelibyśmy, aby jeszcze i ta jedna więcej krwawa kropla spłynęła z Jego umęczonej głowy? — Nie, my na to nie pozwolimy — prawda, dzieci? Niech on już tego nie czuje, ten maleńki, ostry ból niechaj pozostanie w naszych sercach, — my go za Chrystusa odcierpimy. — Czy to nie radość dla nas, oszczędzić temu Męczennikowi, konającemu na krzyżu, jednego więcej ukłócia..? I niechaj Chrystus nawet smutku na naszych twarzach nie widzi; może nasz smutek byłby dla Niego bolesny, może świadczyłby, że my z niechęcią tę przykrość dla Niego znosimy... — Więc, dzieci moje, w górę podnieście serduszka, odetchnijcie głęboko, tak, jakbyście przepełniały piersi swoje siłą i męstwem. To fraszka cierpienie, bo my dzielni, cierpliwi, wytrwali... prawda? prawda?

I oczy matki pochylały się ku twarzom ich obojga, szukając snąć odbicia tej dzielności i męstwa, ku którym torowała drogę ich duszom młodocianym.

Dziś, dorastającą będąc już dziewczyną, Wicunia pojmuje wagę tamtych słów, dziś ona wie, że jeśli kocha swój kraj nad życie, goręcej niż szczęście osobiste, — a Boga więcej jeszcze niż ojczystą ziemię, — to te dwa uczu-

cia, świecące w niej jak płomieniste słońca, rozbudziła w jej duszy matka.

Serce jej przepełniło się teraz uwielbieniem i wdzięcznością dla zmarłej.

Więc twarz podała ku miesięcznym blaskom, osunęła się na kolana i ręce zapłótlszy modlitewnym, ruchem, wyszeptała gorąco:

— Ja przez miłość i wdzięczność dla ciebie mamusiu ukochana, ślubuję, że przez całe życie nie zapomnę ani jednej twej myśli szlachetnej, ani jednego twego pragnienia, — że pamiętać będę nauki twoje i że stanę się tem, czem chciałaś, abym była. Przysięgam ci uszlachetniać własne serce, wzmacniać siły mej duszy kształcić umysł mój, — przysięgam być zawsze czystą i mężną...

Zaledwie wypowiedziała te słowa, spostrzegła zaraz, że dziś właśnie mężną nie była. Bo oto na pogrzebie matki tak dała złamać się cierpieniu, tak żadnego nie uczyniła wysiłku, aby rwące się z jej piersi łkanie uciszyć, — że aż jej biedny i znękany ojciec i brat Staś dźwigać ją musieli zemdloną z nad trumny matczynej. A oni przecież na równi z nią w tej chwili cierpieli, — tylko, że ona o tem zapomniała.

Matka nie tak postąpiłaby, na jej miejscu będąc: jednym rzutem myśli, wzniesionych do Boga, swoim: *Dla Chrystusa Pana* — uzbroi-



aby się w siłę i stanęłaby między tamtymi dwoma łosieroconymi, jak anioł pocieszyciel.

— Ja odtąd będę taką — zaszeptala Wicunia i z gorącą prośbą wzniosła oczy ku niebu.

— Błogosław, mamuniu, dążeniom moim, błogosław mojemu sercu, aby się stało podobnem do twego; ja odtąd nowe życie chcę rozpocząć.

Jakoż nazajutrz, zbudziwszy się, pierwszą myślą pobiegła ku matczynej duszy i ukazała jej serduszko swoje, ściśnięte wprawdzie bólem sieroctwa, ale ciche i nie buntujące się już przeciw woli Bożej.

— Oto Chrystus przywołał mnie, abym z Nim razem niosła krzyż i cierpienia, więc dźwigać go trzeba cierpliwie — i z tą myślą ukłękła do rannego pacierza.

A potem, odmówiwszy modlitwy za duszę matki, śpiesznie pobiegła do jadalnego pokoju, aby przygotować śniadanie dla ojca i brata.

Właśnie służąca, Marysia, przebywająca od lat wielu w ich domu, krzątała się już koło stołu. Zobaczywszy wchodzącą panienkę, pobiegła do niej i ucałowawszy jej rękę, rzekła:

— Przyniosłam chleb, strudelkę i masło. Samowar wnet będzie, już szumi...

— A dla pana odegrzałaś żurek, Marysiu?

Zafrasowała się służąca, bo oto zapomniała o tej ulubionej rannej potrawie pana Zabłockiego.

— Duchem, duchem to zrobię, pannusiu moja — zawołała śpiesznie.

— A bo to, panienko, jak człowiek pójdzie na rynek za sprawunkami, to te przekupki tyle zawsze nowin naopowiadają, że się i zapomni o najpierwszym obowiązku. Ale za parę minut będzie żurek gorąciutki, jeszcze zanim pan starszy i panicz wyjdą z sypialni — przyrzekała Marysia, żwawo przyrzucając dREW do pieca.

I ciągnęła dalej, zajęta razem z Wicunią przecieraniem szklanek i talerzy:

— Mówiła dziś Jacentowa, wie panienka, ta stara przekupka, co to ma stragan z pieczywem tu na naszym staromiejskim rynku...

— Wiem, wiem, — jej syn jest posługaczem przy adjutancie Wielkiego Księcia...

— Ta sama, ona właśnie od syna ma wszystkie wiadomości! Dziś mówiła mi pod sekretem, że księdza Staszica wielkie zmartwienie spotkało.

— Ach, mój Boże! cóż takiego? — zawołała Wicunia, a jej piękne ciemne oczy z niepokojem patrzyły na Marynię.

Ona zaś mówiła:

— Pono ksiądz Staszic napisał jakąś książkę; syn Jacentowej opowiadał, że się ksiądz bardzo rozmiłował w tem pisaniu, już i wydrukowane było, a wszystkich książek była moc znaczna...



Tu Marynia przysunęła się do Wicuni i zniżonym głosem rzekła:

— Ale Wielki Ksiązę Konstanty spalić wszystko kazał.

Wicunia załamała ręce.

— To nieszczęście, Marysiu! wielka szkoda dla narodu! Spalić kazał?! wiesz napewno?

— Mówiła Jacentowa.

— Ach, ksiądz Staszic takie piękne rzeczy pisze, tyle szlachetnych myśli wypowiada w swoich dziełach! — Pamiętasz, jak to zeszedł zimy, co wieczór czytywałam z mamusią książki? To też były dzieła księdza Staszica. W każdym z nich on wzywa Polaków do naprawy złego, jakie się dawniej działo u nas w kraju, zachęca do nauki, pragnie polepszyć dolę ludu. — Ach, moja Maryniu, jeśli i w tych spalonych księgach było tyle serca i rozumu, co w tamtych, to stratę wyrządzono niepowetowaną.

— Nie wiem, panienczko, Jacentowa mówiła tylko, że spalono księdzu Staszicowi jakieś duże jego pisanie.

Nagle Wicunia podniosła głowę, opuszczoną przez chwilę i zawołała żywo:

— Moja Maryniu, a może to wszystko nieprawda? Przecież w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, gdzie tatuś, dzięki księdzu Staszicowi, pracuje, wiedzianoby o tem...

— A może tam i wiedzą; przecie nasz pan

od tygodnia, jak tylko nieboszczka pani położyła się do łóżka, z domu nie wychodzi, więc i nie wie, co się tam na Kanonii <sup>1)</sup> i na Krakowskiem <sup>2)</sup> dzieje.

Uwaga Maryni była słuszną: tak, prawda, od kilku dni już ojciec nie był w żadnym z gmachów, należących do Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Prócz pana Dembka, przyjaciela ojca, nikt wczoraj do nich nie zachodził, a pan Dembek nie śpieszył się, słusznie bardzo, udzielać ojcu wieści, któraby go zmartwiła.

— Staś może co wie — pomyślała — ale także mówić nam nie chciał.

— Moja Maryniu — rzekła głośno Wicunia — nie mów tylko tego przy ojcu; wiesz, jak on kocha księdza Staszica i jaki teraz złamany po śmierci mamusi; nie trzeba go martwić przedwcześnie.

— Pewnie, pewnie, panienko. Zła wieść i tak zawsze prędko ku człowiekowi przyleci. Nie trza nic mówić, niech tam starszemu panu opowiedzą wszystko panowie koledzy. Bo może to i nieprawda, co stara Jacentowa plotła...

Niestety jednak plotki Jacentowej okazały

---

<sup>1)</sup> Na Kanonii mieścił się dom, należący do Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

<sup>2)</sup> Na Krakowskim Przedmieściu przy zbiegu Nowego Świata znajdujący się dom należał również do T. P. N.

się prawdziwemi; ale dopiero wieczorem dowiedzieć się miała o tem Wicunia. Teraz, posłyszawszy czyjeś kroki w jadalni, szybko tam poskoczyła.

Jakoż istotnie pan Zabłocki przyszedł już był na śniadanie.

Ucałowała mu ręce Wicunia serdeczniej i tklawiej niż dawniej, a kiedy głowę uniosła i oboje na siebie spojrzeli, jeden wspólny wyraz miały ich żrenice: oto ojciec na córkę i córka na ojca z niepokojem i badawczo patrzeć poczęli, jakby usiłując wyczytać, ile też bólu po stracie tamtej ukochanej każde z nich w sercu dźwiga, i czy nie należy otuchą poکرzepić wzajemnie swych sił?

Wyczuła Wicunia, patrząc na osiwiałą głowę ojcowską, na jego drobną postać, jakby przychyłoną pod ciężkim brzemieniem, że w tej chwili trzeba jej zapomnieć o własnym smutku. Więc rażno główkę uniosła i rzekła dźwięcznym, spokojnym głosem:

— Zaraz tatula mojego nakarmię, a potem odprowadzę do samego gmachu Towarzystwa, dobrze?

I patrząc w okno, dodała:

— Dzisiaj dzień taki pogodny, słoneczny, nie prędko się zciemni; będziemy mogli po obiedzie, po skończonych zajęciach, ojczulku, pojechać do mamusi na cmentarz, jak to wczoraj wieczór zaprojektowaliśmy.

Ze znękaney twarzy pana Zabłockiego niepokój zwolna następować zaczął.

— Moja ty opiekunko mała — rzekł tylko i ciemnowłosą głowę córki przycisnął do piersi.

Jej wtedy łzy przypłynęły do oczu, ale siłą woli wpędziła je pod powieki i znowu pogodną twarz zwróciła ku ojcu.

— A Staś prędko przyjdzie? — spytała.

— Staś? On już o świcie wyszedł z domu. Zadziwiła się Wicunia.

— I po co wyszedł, dlaczego tak rano?

— Nie wiem, moje dziecko, sam ciekaw jestem. Ja w nocy długo zasnąć nie mogłem, dopiero kiedy poczynąło dzień, zdrzemnąłem się trochę; nagle obudził mnie jakiś szelest, patrzę, a oto Staś już ubrany wychodzi z sypialni. Półgłosem zawolałem na niego, — nie usłyszał, bo właśnie wtedy drzwi za sobą zamykał.

Wicunia spojrzała na zegar.

— Ósma godzina, to on pewnie prędko powróci, aby zjeść śniadanie; przed dziewiątą musi już być w Uniwersytecie...

W tej chwili Marysia wniosła do pokoju ulubiony żurek pana Zabłockiego, a gdy stawiała wazkę na stole, ojciec Wicuni rzekł dobrotliwie:

— No, moja Marysiu, musisz nam dziś sama obiadem zarządzić, bo panienska zaraz po śniadaniu chce wyjść z domu.

— Chwała Bogu! niech panienka idzie, dzień śliczny i ciepły, jakby już wiosna, — na zdrowie panience będzie! A ja już cały mój rozum wysię, żeby obiad smakowity sporządzić.

Uśmiechnęli się oboje do przywiązanej sługi, a kiedy Marysia odeszła do kuchni, pan Zabłocki rzekł:

— Moja Wicuniu, trzeba nam się zastanowić dobrze, co dalej robić z twoją edukacją.

A kiedy to mówił, kilka nowych zmarszczek sfałdowało czoło biednego wdowca i troska odbiła się w smutnych jego oczach.

Wicunia przeciwnie, zarumieniła się, mignęły w żrenicach jej gorące iskierki, a potem rzekła głosem wzruszonym:

— Jak tatuś postanowi, tak i będzie; ale jeśli mi wolno powiedzieć, co myślę, to ja wyjawię. — Mnie na pensji pani Wilczyńskiej bardzo było dobrze; kształcić się dalej jest mojem najgorętszem życzeniem... Ale — tu głos Wicuni trochę przycichł — ale teraz trudno mi na tak długo z domu codziennie wychodzić; obecnie ja będę musiała zająć się gospodarstwem. O tatusiu, o Stasiu któż inny pomyśli? Marysia, choć to bardzo dobra sługa i wierna i kocha nas szczerze, ale sama nie podolałaby wszystkiemu; ja zaś chcę, aby tatko i Staś, pomimo tego nieszczęścia, jakie na nas spadło, choćby w rzeczach codziennej wygody

nie odczuli braku troskliwości, jaka płynęła z ręki mamusi... Więc, skoro ja teraz muszę więcej w domu przebywać, to na pensję już chyba chodzić nie można.

— Ale kształcić musisz się dalej; masz dopiero lat szesnaście, dużo wiedzy trzeba jeszcze zdobyć.

— Ach, tatusiu! — z gorącym błyskiem oczu zawołała dziewczynka — jabym nie wyżyła bez książki! Zresztą mimo nauki wykładanej na pensji, mama kształciła mnie jeszcze w domu sama — i, wie tatko? te lekcje tu, u nas, w ciszy, doprawdy były dla mnie korzystniejsze...

— Bo matka twoja była bardzo światłą i wysoko wykształconą kobietą — odrzekł ojciec.

Lokieć wsparł na stole, czoło dłonią objął i wiódł dalej w rozmyśleniu, patrząc przed siebie:

— Nie ujmuję ja zasług pani Wilczyńskiej, najlepsza to przełożona dziś w Warszawie, całą duszą oddana kształcącej się młodzieży, kobieta zacna, uczynna, miłosierna... Ale przeciwny ja trochę jestem dzisiejszemu kierunkowi, panującemu na pensjach żeńskich: za poziomy on, za małostkowy; przygotowują was do niskich lotów, do życia praktycznego wprawdzie, ale powierzchownego. — Dla umysłu — wyższego pokarmu brak, dusze ku samoistości nie dążą; w sercach młodych uczennic nie

rozpala się gorących ognisk ideału, wyniszczo-  
przez egoizm, próżność, zalotność bezmyślną,  
a niecił w was ukochanie tego, co wielkie: mi-  
łość ojczyzny i bliźniego, wyrabiał hart i uka-  
zywał piękno duszy silnej i czystej...

— Mnie mamusia do takiego lotu wiodła...

— Tak, ona, ta moja czysta i silna...

— Więc ja, tatku, dalej pod twoim kierun-  
kiem tak właśnie kształcić się będę, tu, w do-  
mu, dobrze? Pan Dembek też mi wskazówek  
swoich nie odmówi, ksiądz Falkowski przycho-  
dzi do nas często, on za każdym razem świa-  
telko jakieś we mnie rozpala, — no, a resztę  
zrobią książki; bardzo ich teraz dużo, tyle pię-  
knych poezji, a w nich pełno porywających.  
myśli, Dobrze, tatuniu? ja już pozostanę w do-  
mu...

I ogarnęła ojca serdecznem i pełnem prośby  
prośby spojrzeniem.

— Ha, może tak będzie dobrze, pogadam  
o tem jeszcze z pocziwym moim Dembkiem.

W tej chwili wbiegł do jadalni Staś Za-  
błocki.

— Gdzie ty nam zginąłeś, braciszku? — za-  
pytała Wicunia, całując zarumienioną od zmę-  
czenia, młodzieńczą twarz brata.

— Nie... tam... interes jeden miałem...  
z Plichtą musiałem się widzieć — odpowiedział  
wymijająco, manewrując przytem oczami, aby  
nie spotkać spojrzenia ojca ani siostry. — Daj

mi, Wicuniu, co zjeść, bo za chwilę muszę być  
w uniwersytecie.

Wicunia szybko nalala bratu szklanę kawy  
i przysunęła mu koszyk z pieczywem, pytając:

— A kto będzie miał u was pierwszą go-  
dzinę wykładu?

— Stary Osiński, a ta bryła lodu okropnie  
nie lubi, kiedy się który ze studentów spóźni  
na jego wykład. — Dziś zwłaszcza ma mówić  
o *Georgikach* Wirgiliusza.

Tu uśmiechnął się młody student, ciągnąc  
dalej:

— No, nie powstrzyma się stara Osina,  
i znowu nam opowie, że jego przyjaciel, pan  
Kajetan Koźmian pisze już od lat wielu poema,  
wzorowane na *Georgikach*, a któremu na imię  
będzie: *Ziemiaństwo polskie*.

Po twarzy pana Zabłockiego przesunął się  
słaby uśmiech, gdy zapytał syna:

— Cóż tak drwisz z obu klasyków warszaw-  
skich?

— Bo ich nie cierpię — odpowiedział Staś.

— I ja także — przyznała się Wicunia —  
bardzo ich obu nie lubię, odkąd sztydzić za-  
częli z przecudnych *Dziadów* Mickiewicza.  
Jakże można tak trawestować najpiękniejszą  
poezję:

*Cicho wszędzie, głośno wszędzie,  
Nic nie było, nic nie będzie.*



— Zapewne, że takim powiedzeniem urazić musieli jedną z najgorętszych wielbicielek poety Adama — pół żartem pół seryo rzekł Staś.

— A ty go nie wielbisz?! A pan Plichta czyż także nie unosi się nad poezjami Mickiewicza?

— Prawda, moja droga, i na pociechę powiem ci, że Mickiewicz ma takich jak my zapalonych wielbicieli cały legion! — No, ale na mnie już czas.

To mówiąc, młodzieniec wstał od stołu, pożegnał ojca i odprowadzony przez siostrę, przeszedł do małego przedpokoju.

Kiedy rodzeństwo zbliżyło się do drzwi wyjściowych, Staś zapytał szeptem:

— I cóż ojciec, spokojniejszy dziś trochę?

— Mnie się tak zdaje — odrzekła Wicunia — a może tylko tłumi w sobie wszystko?

— Trzeba mu też myśli odwracać od tego bólu; ja umyślnie tak plotłem ciągle przy stole, aby ojciec w ciszy nie zapadał w zadumę. Pamiętaj, Wicuniu, nie pokazuj mu swoich łez; jeśli my oboje bardzo cierpimy po stracie mamy, to ileż więcej cierpi ojciec?

— Ja przy tatusiu już nie płaczę — powiedziała dziewczynka drżącymi ustami.

Brat objął ją serdecznie. Przytuliła się do niego, a z oczu jej łzy poczęły kapać obficie.

— Ach, Stasiu... chwilami tak mi ciężko... cała dusza rwie się do mamusi...

Gdy to mówiła i oczy chłopca zamroczyły się łzami, jednak pokonał wzruszenie, dobył chusteczki i, ocierając siostrze splakane oczy, rzekł cicho:

— Bądź mężną, moja Wiciu, żeby ojca nie martwić.

— Już nie płaczę, już nie... Czy nie znać, że płakałam?

— Nie, nie. Wróć za chwilę do ojca.

— Do widzenia, Stasieczku!

Ucałowali się, chłopiec wybiegł na schody, ona zaś powróciła do jadalni.

## II.

Wkrótce po śniadaniu wyszła Wicunia z <sup>z</sup>ojcem na miasto. Że to dzień był wrześniowy, pogodny i jeszcze ciepły, więc dziewczynka nie wzięła żadnego okrycia na swą żalobną sukienkę. Szli zrazu milcząc, okolili rynek Starego Miasta, a potem zboczyli w ulicę Świętojańską. Zatrzymali się na chwilę w kruchcie katedralnego kościoła; tu przyklękli i oczy ich utonęły w głębi pięknej, gotyckiej świątyni. Przed wielkim ołtarzem kończyła się właśnie msza, więc nie wstając z klęczek, czekali pogrążeni w modlitwie na ostatnie błogosławieństwo. A kiedy kapłan zwrócony do ludu zakreślił szeroki znak krzyża, Wicuni wydało się, że tam, w mrocznej oddali prezbiterium, pośród szeregu płomyków, niby wydłużonych gwiazd złotych, jakaś ręka wszechmocna błogosławi smutkowi jej i tym cichym a silnym postanowieniom, które wczorajszego wieczoru zbudziły się w jej duszy.

Znaleźli się znowu na ulicy. Teraz od Zamkowego placu dobiegał już gwar i turkot życia miejskiego. Na szerokiej przestrzeni wokół kolumny króla Zygmunta sunęły gromadki przechodniów, tu i tam słychać było powóz, pędzący szybko lub wysoki, ciężki omnibus, przewożący podróżnych z Pragi aż na koniec Podwala. Kiedy pan Zabłocki wszedł z Wicunią na Krakowskie Przedmieście, dziewczynka zawołała raptem, ukazując ojcu piękny pojazd, mknący środkiem ulicy:

— Tatusiu... o, o! księżna Łowicka!

— Prawda, tak, to ona.

Istotnie w powozie jechała piękna Joanna Grudzińska, żona Wielkiego Księcia Konstantego, naczelnego dowódcy wojsk polskich w Królestwie Kongresowem.

— Tatusiu, jaka ona śliczna! — unosiła się dziewczynka, patrząc z zachwytem na wdzięczną postać niewieścią, szybko oddalającą się w stronę Nowego Światu.

— Gdzie ona jedzie tak rano? — pytała Wicunia ciekawie, goniąc oczyma za błękitnym, trzepocącym się w powietrzu woalem księżnej.

— Pewnie wraca do Belwederu; musiała być na mszy u fary. Ja bardzo często widuję ją o tej porze na ulicy; mówiono mi, że najwięcej lubi modlić się w kościele katedralnym.

— Ile ona może mieć lat teraz?

Ojciec zamyślił się, a potem rzekł:

— Zaślubiła Wielkiego Księcia przed pięcioma laty, dziś mamy rok 1825, — to księżna liczy ze dwadzieścia sześć lat..

— Czy ona nie chowała się w Warszawie? — badała dalej Wicunia.

— Nie, kształcono ją w Paryżu, dopiero po skończonej edukacji powróciła do Warszawy.

— I tu ją Wielki Książę poznał?

— Podobno w jednym z salonów wielkopąnskich. Ogólnie Joanna Grudzińska zwracała uwagę nadobną postacią, światłym umysłem i zacnością charakteru.

— Jeśli ona taka rozumna i dobra, to może dużo dobrego robić, będąc na tak wysokiem stanowisku, prawda, tatusiu? — z gorącemi iskierkami w pięknych swych oczach żywo powiedziała Wicunia.

— Mówią, że jest uczynna, że nigdy nie odmawia wstawiennictwa do swego książęcego małżonka.

— A on podobno surowy bardzo dla żołnierzy?

— Tak — przyznał ojciec — jednak z drugiej strony Wielki Książę stara się usilnie o wydoskonalenie wojska polskiego; karność jest teraz wzorowa i wiadomości wojskowych posiada każdy żołnierz sporo.

— Wojsko nasze lepsze jest teraz, niż wtedy, gdy tatuś walczył pod Kościuszką?

Bolesna zmarszczka przecięła czoło dawnego wojownika.

— Niestety, gdybyśmy wówczas mieli takie pułki!..

Na chwilę urwała się rozmowa. Snać pan Zabłocki utonął myślą w tamtych latach płomiennych, kiedy, złożwszy mienie u nóg Ojczyzny, sam walczył w szeregach.

Dziewczynka zaś, patrząc na pogodne niebo, jakby odczuwając wrażenia ojca, oddaliła się również myślami od gwaru miejskiego, po chwili bowiem rzekła:

— Kiedy Prusacy oblegali Warszawę w 1794 roku, tatusia wtedy tutaj nie było?

— Nie, ja służyłem wówczas pod generałem Dąbrowskim w randze kapitana. Oddział nasz posłał Kościuszkę w okolice Bydgoszczy, aby tam zbrojnym oporem powstrzymać pruskie wojska od zbliżania się do stolicy.

— To tam, pod Bydgoszczą tatuś się bił z owym srogim pułkownikiem pruskim, Sekulim, który to polskich jeńców znaczył rozpalem żelazem i odgrażał się, że generała Madalińskiego, skoro pochwyci, za żebro powieści każe!

Ojciec uśmiechnął się.

— Skądże ty to wszystko wiesz?

— Od mamusi. Ona mi mówiła i o tem, że kiedy Sekuli, po przegranej bitwie pod Łabieszynem, cofnął się do Bydgoszczy, a generał



Dąbrowski puścił się za nim w pogoń, to wtedy, stanąwszy pod miastem, generał wysłał tatusia do Sekulego z żądaniem, aby się poddał.

— Tak, ale on na moje żądanie dał tylko grubijańską odpowiedź. To też Dąbrowski, dowiedziawszy się ode mnie o tem, rzekł krótko: „Kiedy tak, to mu pokażemy, że ma z Polakami do czynienia“. Uderzyliśmy na Bydgoszcz, ze wszech stron; walka nie trwała długo, Prusacy zaczęli uciekać. Sekuli otrzymał ciężką ranę; kosynier, który go napadł, byłby go zarażał, ale w porę nadbiegłem, ocalilem mu życie, choć nie na długo, bo w parę dni później z ran umarł.

— A i tatuś był tam ranny?

— Lekko, — ciężką ranę otrzymałem dopiero w bitwie pod Auerstädt w 1806 roku.

— Walcząc w legionach?

— Właściwie nie istniały już legiony, bo je rozwiązano w 1801 roku; my jednak rozproszeni po pułkach dalej walczyliśmy pod napoleońskimi orłami.

Pan Zabłocki umilkł na chwilę. Przyszło mu na myśl, że ta słodka dziewczeczka, idąca obok niego, często podobne rozmowy prowadziła widocznie ze swą matką, więc teraz jej dusza młodociana, żadna wiedzy, z rozbudzoną w dobrym kierunku ciekawością, gnać się będzie ku niemu. Jednocześnie odczuł, że ojcowskim jego obowiązkiem być musi zastępowanie dzie-

cku matki zmarłej, — że teraz nie dość zaspokajać materyalne potrzeby córki: trzeba mu jeszcze duszą obok jej duszy stanąć.

Spojrzał na Wicunię. Wokoło niej był gwar uliczny wesołego pogodnego przedpołudnia; jednak oczy jej nie tonęły w tym ruchu, zdawała się być nieczulą na wrzawę życia miejskiego: szła w zamyśleniu, z wyrazem twarzy skupionym.

Więc ojciec znów się odezwał:

— Wkrótce po bitwie auerstädzkiej zostało, jak wiesz, utworzone Księstwo Warszawskie. Wyleczywszy się z ran we francuskich ambulsach, wróciłem do Warszawy. Warunki moje materyalne były wtedy ciężkie, ale czułem się na siłach do pracy. Po radę udałem się do najzacniejszego z ludzi, do księdza Staszica. Był on już wówczas prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wiedział, że gruntownie znam dzieje ojczyste, więc w tej instytucyi, przyczyniającej się do wzrostu oświaty narodowej, znalazł dla mnie pracę i kawałek chleba.

— I tu spotkał się tatuś z panem Dembkiem?

— Tak, przedtem walczyliśmy obok siebie, a potem i pracowaliśmy razem. Jego nazywaliśmy „kochanym kolegą od przyrody“, bo on właśnie uzupełniał i katalogował wydawane przez Towarzystwo dzieła przyrodnicze.

— I ja także bardzo kocham pana Dembka

i lubię go ogromnie za jego wesołość. Czy on przyjdzie dziś wieczorem do nas na wieczerek?

— Pewnie, zresztą poproszę go o to, aby ostatecznie omówić z nim sprawę dalszej twojej edukacji.

Wicunia ucieszyła się.

— O, to pan Dembek stanie po mojej stronie, już zgaduję naprzód. Powie tak, jak zawsze: „Po co sprzeciwiać się ptaszynce?”

Rozmawiając, zbliżyli się do pięknego gmachu na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata. Gmach ten ofiarował był Staszic Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Wszedłszy pod arkady okazałej budowli, pan Zabłocki i Wicunia zatrzymali się.

— Do widzenia, tatusiu! — przy tych słowach dziewczynka pochyliła się do ręki ojca.

On dotknął ustami jej czoła i rzekł:

— Wracajże teraz do domu, o trzeciej przyjdę na obiad. Zaraz potem udamy się na cmentarz.

Wicunia chwilę jeszcze patrzyła za ojcem, zapuszczającym się w głąb sieni, wiodącej na szerokie schody, poczem zwróciła się ku domowi.

Szła zamyślona, układała sobie w głowie sposób, w jaki należy jej teraz rozłożyć zajęcia dzienne, aby i gospodarstwu i własnemu kształceniu dość potrzebnego czasu poświęcić.

— No i moim kochanym robótkom jedną oddam godzinę i jedną godzinę czytaniu powieści. Kiedy skończę *Elizę czyli wzór kobiet* pani Rebeur, to jeszcze raz przeczytam *Pamiętkę po dobrej matce*; będzie mi się zdawało, że głos mamusi do mnie przemawia...

Wicunia była tak pogrążona w myślach, że nie spostrzegła zrazu idącej na wprost niej młodej panienki, ubranej jasno i strojnie; szafirowego koloru suknia tej osóbkki przewiązana była tuż pod gorsem szeroką, białą szarfą, zakończoną z tyłu frendzlami. Duży, perłowej barwy kapelusz, mający kształt budki, osłaniał całą jej głowę, po bokach sięgając prawie do połowy szyi; biały muślinowy welonik związywał tuż pod brodą skrzydła kapelusza, którego bok przybrany był pękiem ciemno-ponsowych róż.

— Kocia! — zawołała nagle Wicunia spostrzegłszy idącą.

— Wicunia! — krzyknęła panna Konstancja Stępińska.

Zatrzymały się obie i uściśniły serdecznie.

— Ach, *ma chère* bardzo współczuję z tą stratą, jaką poniosłaś. Mama twoja chorowała długo?

— Około trzech tygodni; przeziębila się mamunia i dostała zapalenia płuc. Najlepszych doktorów ojciec sprowadzał, nic nie pomagało,

mama była bardzo wątła; już po raz trzeci zapadła na tę samą chorobę.

Kocia słuchała z roztargnieniem objaśnień koleżanki, co chwila rzucając ciekawe spojrzenia na mijających je przechodniów; kiedy ulica oustoszala na chwilę, przyglądała się bardzo drobiazgowo ubraniu Wicuni. Skoro ta umilkła, Kocia zawołała żywo:

— Bardzo ci do twarzy w czarnym kolorze, trzeba jeszcze, żebyś sobie zafryzowała małe loczki, i opasz je tuż nad czołem wąską wstążeczką, o patrz,—tak, jak ja noszę, to teraz *très à la mode*. Przy tych słowach pannenka dotknęła ręką błękitnej opaski przytrzymującej chmurkę jej włosów, zwijających się w jasne pierścienie. — Tylko, naturalnie, początkowo musisz wziąć czarną opaskę.

Ach, to bardzo przykro nosić żalobę, zwłaszcza teraz, gdy już jesteś prawie dorosłą panną; żadna zabawa dla ciebie niedostępna... A wiesz, mnie rodzice przyrzekli pierwszą reductę! — cieszę się ogromnie, poznam tam mnóstwo eleganckich kawalerów.

W dużych, ciemnych oczach Wicuni odbiło się zdumienie; kiedy Kocia szczebiotała o jej żalobnej sukni, ona uczuła jakby ból w sercu: zdało jej się, że słowa koleżanki profanują nie martwy ubiór, który ma na sobie, ale wprost jej sieroctwo, boć przecie ta czerń, która ją osłania, jest niczem innem jeno

cieniem rzuconym na nią przez mogiłę matki i jest jakby odbiciem tego zmierzchu, który osnuł teraz jej duszę.

— Że też Kocia tego nie czuje! — przemknęło przez głowę Wicuni i, chcąc przerwać słowa koleżanki, spytała:

— Czy chodzisz w tym roku na pensję?

— Ależ co znowu! dość już ślęczenia nad szpargałami. Pani Wilczyńska, nasza przelozona, to bardzo zacna dama, ale radaby ze wszystkich swoich elewek porobić guvernantki! Czyż nam, pannom z *sosiety*, potrzeba aż tylu wiadomości? Dla kobiety światowej konieczny jest wdzięk, spryt, figlarność i uroda, przyznasz sama, że tego nie wyuczą książki, a ślęczenie wielogodzinne nad nauką źle wpływa na powierzchowność: psuje cerę i talję. — Zresztą ja już nawet czasu nie mam, aby chodzić na pensję. Co dzień, gdy pogoda, pozuję malarzowi Fortiniemu, do portretu. — Wyobraź sobie, moja droga, jak prześlicznie obmyślona poza: jestem w stroju pasterki, a do moich nóg przytula się biała owieczka, *très poetique!* Fortini śpieszy się ogromnie z wykończeniem portretu, bo chce go umieścić w Kazimierzowskim pałacu, gdzie wkrótce z inicjatywy księżnej Wirtemberskiej będzie otwarta wystawa portretowa.

Wicunia, usłyszawszy nazwisko Maryi z książąt Czartoryskich, ożywiła się nagle.

— Księżna w Warszawie?

— Tak, już od trzech tygodni tu bawi, byłam na paru jej obiadach literackich.

— To pewnie i matka jej, księżna Izabella Czarotorska przyjechała, z Puław.

— Jest i stara księżna.

— Ach, Kociu! opowiedz mi o nich obu-dwóch, ja je tak uwielbiam! „*Malwinę*“\*) po-wieść księżnej Wirtemberskiej czytałam już wiele razy — i zawsze jednakowo mnie za-chwyca!

— Cóż chcesz, żebym ci o nich powie-działa? Stara księżna Czarotorska ma jesz-cze doskonałą figurę, ale niepotrzebnie ob-wiesza się wschodnimi szalami. A księżna Marya zawsze skromnie ubrana, nie lubi ety-kiety...

— Ale o czym one mówią? Jakie one prze-konania wygłaszają?—przerwała Wicunia.

— *Ma foi*, mało słyszę, co one tam mówią, *tu comprends*—starsze damy! Tam by-wa tyle *mondu*, zawsze otoczona jestem kawa-lerią, która mi robi *la cour*, więc prawie z po-wierzchności tylko znam obie księżne. Osta-tecznie; zauważyłam, że księżna Wirtemberska sprawia wrażenie smutnej.

\*) „*Malwina* czyli domysłność serca“ jest pierwszą powieścią polską.

— Ach, czyż ona może być wesołą!—pod-chwyliła Wicunia — tyle przecierpiała! Kto tak kocha ojczyznę, jak księżna Marya, a zmuszo-ny jest grozić mężowi rozwodem, by go zmu-sić do pełnienia służby narodowej, kto prze-konywa się, że i taka groźba jest bezsilną, — ten chyba już na resztę życia nosi w sercu niezagojoną ranę...

— No, pewnie — przytwardziła Kocia ski-nieniem głowy, dodając:

— A wiesz, że jej mąż, ksiązę Ludwik już na stałe wyjechał zagranicę!

— Mała strata dla naszego kraju. Dopóki ksiązę ludził się, że kiedyś zdobyć może ko-ronę polską, dopóty udawał dobrego syna przybranej ojczyzny; ale kiedy należało krwią bronić Konstytucyi Majowej—to on uchylił się od wszystkiego...

— Ach, moja droga — przerwała raptem Kocia żywe słowa Wicunii—ja tu z tobą gadu, gadu, a tam Fortini czeka; muszę cię poże-gnać i wstąpić po moją mamę, która jest na Mszy u Świętego Krzyża,—potem razem idzie-my do *atelier*.—Do widzenia, przyjdę kiedy odwiedzić cię.—I panienki pożegnały się.

Wicunia szła dalej, myśląc: — Dziwna ta Kocia, taka pusta... obchodzą ją tylko dro-bnostki. Nieprzyjemne takie życie,—bez treści! I ja, niemądra, zazdrościłam jej dawniej stroj-nych sukienek! Dziś zdaje mi się, że w zami-



lowaniu do stroju, w tem obwieszaniu własnej postaci fatalaszkami tkwi coś z bezmyślności ptasiej.. Tu mimowolny uśmiech rozchylił usta Wicuni. — No, pan Dembek, posłyszawszy to, obrazilby się na mnie! — „Żadna żywa istota, żaden twór organiczny nie jest bezmyślny, moja mościa panno!“ — takby z pewnością powiedział. — „I mrówka, która ci pod paznogciem się zmieści, i wielbłąd, na którego po drabinie wsiadaćbyś musiała, wszystko ma swój świat myśli. — Ot i głupstwo powiedziałaś, moje dziecko!“

Tak rozmyślając, Wicunia przyspieszyła kroku, aby corychlej znaleźć się w domu, gdzie ją czekały rozliczne prace i zajęcia.

Bawialny pokój w mieszkaniu pana Zabłockiego był niewielki, niski, o dwóch małych oknach, zawieszonych firankami. Pod ścianą stała duża, staroświecka kanapa, obita ciemnozielonym drelichem, o wysokich poręczach z czarnego rzeźbionego drzewa, — przed nią, otoczony fotelami, stół, pokryty serwetą, pośrodku której leżała okrągła patarafka, włóczkowej roboty, — na niej stała porcelanowa lampa, przysłonięta ciemnikiem z różowej bibulki, poprzez którą przebijały wyraźnie zasuszone liście paproci. Między oknami wisiało lustro również w staroświeckich, czarnych ra-

mach, a przed oknami zieleniały wielolistne pelargonie, umieszczone w wysokich, żółtych doniczkach. W rogu pokoju mieściła się mała trzciniowa kanapka z dwoma taboretami, również plecionymi z trzciny i takim-że małym stolikiem, na którym leżały książki i czasopisma różne.

Ściany obwieszane były mnóstwem malowideł i portretów. Nad staroświecką kanapą widniał obraz dużych rozmiarów, przedstawiający bitwę pod Arcole. Dwudziestoletni wódz, Napoleon Bonaparte, prowadzi swoich francuskich żołnierzy pod gradem kul przez most, wiszący nad rzeką. On pierwszy biegnie naprzód, śmiertelne pociski warczą wokół jego drobnej postaci, — ze wzniesionym w prawicy orężem rzuca spojrzenie w tył, ku swoim szeregom; od blasku jego oczu, od lwiego męstwa postaci budzi się zapal w słabnących wojownikach, cisną się, lecą za swoim ukochanym wodzem, każdy radby własnem ciałem osłonić tego młodocianego bohatera... Więc pędzą jak nawałnica, walą się na austriackie szeregi i rozbijają je w puch...

Na obszernej ścianie, nad klawikordem, wiszą małe, szkłem osłonięte obrazki; to wizerunki królów polskich, — a poniżej pieśniarz z Czarnolasu z małą Urszulką na kolanach. Dalej widać na innym portreciku Karola Chodkiewicza, jest i Żółkiewski na cecorskiem polu,

i Stefan Czarniecki, kiedy gasnącem okiem zegna białego swego konia, który dzielił z nim tyle walk, nosił na pola zwycięstw...

Staś i Wicunia znają niektóre obrazki od lat pacholących, są i takie, które własnymi rękami zawieszali na ścianach, i takie, które za protekcją ich serc dziecięcych dostały się do małego saloniku.

Tu właśnie, o godzinie przedwieczornej siedziała Wicunia, dzierżąc sztylsem delikatną koronkę, przeznaczoną do kościelnego obrusa. — W pobliżu stał Henryk Plichta, dwudziestoletni przyjaciel młodego Zabłockiego. Przed chwilą Staś wyszedł był z saloniku, wezwany przez ojca, który w drugim pokoju kończył korektę<sup>1)</sup> pewnego historycznego dzieła, wydawanego przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Kiedy Wicunia pozostała razem z Plichtą rzekła po krótkiej chwili wahania:

— Ja mam do pana wielką prośbę...

— Słucham — odpowiedział Plichta skwapliwie, siadając obok, na taborecie.

Ona wtedy podniosła oczy na jego twarz urodziwą, o rysach męskich, rozjaśnioną dużymi szafirowymi oczyma i rzekła z wolna, zbierając myśli:

<sup>1)</sup> Korektą nazywa się poprawianie drukującego się pisma, zanim wyjdzie ono w książce lub też gazecie.

— Nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć. Staś był zawsze bardzo szczery, — jest on wprawdzie o dwa lata ode mnie starszy, ale wyjawiał mi wszystkie swoje myśli; teraz... i mnie to zaczynać niepokoić, — co parę dni rano gdzieś się wymyka, a kiedy go zapytam o przyczynę, albo wręcz odmawia wyjaśnień, albo daje odpowiedź wymijającą. — Pan ze Stasiem ciągle przebywa, jest jego przyjacielem; czy pan mi nie zechce powiedzieć, jeśli wie, gdzie Staś chodzi tak rano...? Ja nie przez ciekawość pytam, lecz z niepokoju...

Kiedy mówiła, Plichta patrzył na nią serdecznie i z wielką przyjaźnią; gdy umilkła, na chwilę oczy spuścił, odbił się namysł na jego kształtnem czole, — wreszcie rzekł, wzrok podnosząc:

— Ja właściwie nie powinienem tego mówić, bo nie chcemy wtajemniczać wielu osób: zaraz rozpoczęłyby się perswazyje, odwodzenia, a w tem, co robimy, niema nic złego, ani niebezpiecznego. Ostatecznie Staś mógł być pani powiedzieć sam, pani jest teraz do pewnego stopnia jego opiekunką; ale on widocznie zbyt ściśle pojął ten wyraz: tajemnica, którym związaliśmy się wszyscy... — Widzi pani, my młodzi studenci, rzemieślnicy — wogóle młodzież różnych sfer, zbieramy się rano, przed pracą zawodową, partyami niezbyt licznymi, w jednej

obszernej sali na Pradze i tam trochę się fechtujemy, mustrujemy, uczymy władać bronią.

— W jakim celu? — spytała Wicunia. — Przecież jedni po dojściu do pełnoletności, inni po ukończeniu uniwersytetu i tak obowiązani będą uczyć się tego...

Uśmiechnął się Plichta trochę zagadkowo.

— Co szkodzi, gdy to wszystko umieć będziemy wcześniej? — odrzekł tylko.

Nie badała dalej.

— Dziękuję panu — powiedziała — teraz będę spokojna o Stasia.

I znów głowę schyliła nad robotą.

Z przedpokoju ozwał się dzwonek i po chwili wszedł do bawialni w towarzystwie obu Zabłockich, oczekiwany tego wieczoru pan Dembek. Był to mężczyzna starszy wiekiem, niskiego wzrostu, dość tęgi, o twarzy rumianej, okrągłej, okraszanej jowialnym nieco uśmiechem.

— Piękny dyg, panience — rzekł do Wicuni, gdy dziewczyna podbiegła ku niemu. — Zaszczebiotaj-że co do mnie, moja ptaszyno...

Uśmieknęła się Wicunia i rzekła:

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł.

— No, masz za to cukierki.

I przy tych słowach pan Dembek wyjął z kieszeni tużurka białe pudełko, przewiązane różowym sznureczkiem.

— Ale nie myśl, moja jagódko, że to byle

co! — objaśniał, kiedy mu Wicunia dziękowała. — Bo to od samego Lesła z ulicy Miódowej.

— Wiem, wiem! tam są na całą Warszawę najlepsze cukierki i ciasteczka.

Do bawialni weszła Marysia, i pocałowawszy w łokieć gościa, coś poszeptala do ucha swej młodej gosposi.

Naraz pan Dembek żartobliwie zagadnął:

— Cóż, Marysiu, czy samowar gotów?

— A jest, jest! — pochwaliła się służąca. — Ja przecież wiem, że skoro pan Dembek do pokoju wchodzi, to zaraz duchem trzeba nieść herbatę.

— O, jaka domyślna! A ploteczki nowe masz? — badał dalej.

Marysia się stropiła. Nad wszystko w świecie lubiła ona nowinki i plotki, to też zносиła ich zawsze mnóstwo z miasta. Ale teraz spojrziała tylko z zakłopotaniem na swą panienkę, i rumieniąc się wyjąkała:

— Nie, ja nic nie wiem, o niczem nie wiem.

— Jakto, o fajerwerku nie słyszałaś?

Marysia otworzyła oczy szeroko.

— No, jeśli o tem nie wiesz dotąd, to wszystkie przekupki warszawskie wyrzekną się znajomości z tobą.

I pan Dembek opowiadać zaczął ku wielkiemu strapieniu Marysi to, o czem ona wie-

działa najpierwej, mianowicie o spaleniu jednego z dzieł Staszica.

Pan Zablocki zmartwił się tą wieścią, albowiem wysoko cenił literackie prace wielkiego męża, którego życie było jednym wyrazem miłosierdzia i rozumu.

— A ja czytałem wyjątki z tego poematu — mówił ojciec Wicuni, kiedy wszyscy razem przechodzili do jadalni na wieczerzę. — To było dzieło ogromnych rozmiarów, zatytułowane: *Ród ludzki*. Poezyi może w niem nie wiele, ale myśli niepowszednich, jak zawsze u Staszica, dużo. Wielka szkoda, że je zniszczono.

— Ja słyszałem — odezwał się Plichta, idący obok Stasia — że podobno kilkanaście egzemplarzy ocalało.

— I cóż z tego, mój drogi — zauważył Staś — czyż z kilkunastu książek będzie mógł korzystać cały nasz ogół?

— He, he! — zaśmiał się pan Dembek, który w tej chwili odbierał z rąk Wicuni szklanę z herbatą. — To, co mówisz, takie podobne do prawdy, jak ten puszek, co czerni się pod nosem, do sumiastych wąsów. Właśnie teraz przez ciekawość, jakie to dzieło i dla czego skonfiskowane zostało, weźmie się nasz ogół na gwałt do czytania tych niewielu egzemplarzy. Pożyczać je sobie będą, odpisywać ważniejsze ustępy i skończy się na tem, że *Ród ludzki* niejedynemu pozna lepiej, niż nawet

staszicowskie: *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego* i jego: *Przestrogi dla Polski*.

— Daj Boże, niech czytają z jakich chcą pobudek, byle czytali — zakończył pan Zablocki i rozmowa weszła na inne tory.

Pan Dembek wspomniał o zbliżającym się pierwszym po letnich feryach posiedzeniu publicznem członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a spostrzegłszy wlepione w siebie ciekawe oczy Wicuni, rzekł:

— Umizgnij się do mnie, sroczko, to cię wezmę z sobą do amfiteatru na posiedzenie.

Uradowała się dziewczynka.

— Ach, dobrze, dotąd nie byłam tam ani razu.

— Bardzo słusznie, ktoby tam brał z sobą takie pisklę. Teraz co innego: podrosłaś, przestajesz być podlotkiem, robisz się panną dorosłą. Choć z drugiej strony, idąc tam z tobą narażę się tylko Lindemu.

— A dlaczego? — spytała.

— Dlaczego? Bo nasz wielki twórca *Słownika* zawsze sarka na białogłowy, kiedy tłumnie się zbiorą w amfiteatrze. On utrzymuje, że wy tam chodźcie po to, aby zaprezentować wasze fatalaszki.

W myślach Wicuni stanęła jak żywa Kocia Stępińska, więc się tylko uśmiechnęła, a pan Dembek żartował dalej:

— I powiada Linde, że kiedy na posiedzeniu



przemawiają górną i szumnie różne uczone osoby, to wy tam na górze nie uważacie wcale, jeno trąćcie się łokietkami i dopiero jedna do drugiej szeptu, szeptu: „Patrz, książę Adam Czartoryski! ach, jaki on śliczny! — O, o, o! widzisz — toczy się jakiś grubasek! A inna znów: Fe, jaki stary Śniadecki brzydki... — O! jakie ma o was mniemanie pan Bogumił i dlaczego was nie lubi.

— Ale i pana także nie lubi — z uśmiechem rzekł Staś — bo się zawsze z panem sprzecza.

Felna, rumianą twarz pana Dembka skrzywiła się zabawnie.

— At, gada mi zawsze, że niegramatyczny. Według niego powinienem się pisać „Dąbek“ i jeszcze złośliwie dodaje, że takie nazwisko lepiej do mnie pasowało, jako do przyrodnika. Ja mu na to odpowiadam, że znowu „Linde“ harmonizuje tylko z niemiecką połową jego słownika, a z polską jest w rozterce.

Co usłyszawszy Plichta, śmiać się zaczął i rzekł:

— W takim razie zrobił pan sobie z pana Bogumiła wroga, bo on radby pośród nas uchodzić nie tylko za Polaka, ale nawet za gorącego patriotę.

Pan Zabłocki zaś rzekł:

— Jednak duszą to on nie przestaje być

Niemcem, i tam jego ojczyzna, gdzie dobrze. Swoją drogą Linde to znakomitość; co za pedagog z niego, co za znawca starożytnych języków!

Tak gwarząc, spożywano wieczerzę, po czem małe to grono osób, spędzające razem wieczór dzisiejszy, powróciło do bawialni. Starsi panowie zasiedli na kanapie, ponad którą wisiał obraz z bitwą arcorską, i tu, paląc krótkie fajeczki, rozmawiali z cicha, a młodzież umieszczała się w rogu pokoju, przy trzcinowym stoliku, kędy leżały książki różne i gdzie Wicunia postawiła teraz zapaloną lampę.

— Przyniosłem pani poezye Schillera — rzekł Plichta do Wicuni.

Poszedł do przedpokoju i za chwilę powrócił, niosąc małą książeczkę.

— Ach, to ballady i pieśni, wydanie zbiorowe — zawołała z radością Wicunia, biorąc książkę do ręki. — Dziękuję panu bardzo, ja tak lubię Schillera.

— Tu jest jedna prześliczna ballada p. t. *Rezygnacya* — objaśnił młody człowiek.

— Przeczytamy ją, dobrze? — rzekła Wicunia, przerzucając kartki.

— Czy to tłumaczenie Mickiewicza? — zapytał Staś.

— Niestety, nie, Kamińskiego.

Że to w owych czasach młodzież polska gorąco interesowała się poezją; że ponad

wszystkich poetów najwyżej wzniosł się w jej sercu młody, płomienny, na orlich skrzydłach natchnienia szybujący Mickiewicz, który już tę młodzież przyzywał pełną zapалу *Odą do młodości*, elektryzował *Pieśnią Filarecką*, *Zeglarzem* i całym szeregiem natchnionych poezyj, przeto i nasza znajoma trójka poczęła teraz gwarzyć o swoim bożyszczu. Przebywał Mickiewicz dotąd w Odesie. Plichta zebrał o nim sporą garść nowin udzielonych mu przez jednego znajomego, wracającego z Odesy, i teraz dzielił się niemi ze Stasiem i Wicunią. Dziewczynka wypytywała się ciekawie:

— Mickiewicz improwizuje? Często improwizuje?

— I często i chętnie—objaśnił młodzieniec i mówił dalej:

— Podobno raz był Mickiewicz u Bonawenturostwa Zaleskich na zebraniu. Znalazł się tam w gronie gości jakiś książę grecki ze swoim niewolnikiem murzynem, który przez czas zabawy stał przy drzwiach z wyrazem smutku na twarzy. Ktoś ze znajomych poprosił Mickiewicza, aby improwizował.—Na jaki temat?—spytał poeta. — Wskazano mu stojącego w pobliżu murzyna. Po krótkim namyśle Mickiewicz zaczął opowiadać wierszem dołę niewolnika: mówił o jego tęsknocie za ziemią ojczystą, o łzach matki, o rozstaniu z ojcem, — improwizował o narzeczonej nieszczęśliwego,

którą ten musiał porzucić, kiedy go sprzedano. Podobno mówił cudnie, wzruszył wszystkich,—a książę grecki, kiedy mu przetłumaczono treść improwizacji, obdarzył murzyna wolnością.

— Czy też tam w Odesie oceniają należycie naszego Mickiewicza?—spytała Wicunia, kiedy Plichta umilkł.

— O, na rękach go tam podobno noszą! najczęściej jakoby bywa u Sobańskich, tak go tam rozpieścili, a on tak się rozkaprysił, że często, wszedłszy do salonu, po przywitaniu się ze wszystkimi siada i mówi: „Ja chcę kawy, niech tylko będzie z tłustą śmietanką i grubym kożuszkim“.

Zaśmiała się Wiciunia i Staś, a Plichta opowiadał dalej:

— Kiedy mu już dadzą tę kawę i kiedy ją wypije, często w roztargnieniu odda pustą filiżankę zamiast służącemu, samemu gospodarzowi albo i któremu z gości. Podobno raz filiżanka dostała się generałowi Wittemu.

— A o nowych jego poezyach nie słyszał pan?

— Nie; zresztą może tam co i tworzy — mówiono mi tylko, że w tych czasach wybiera się na Krym z Sobańskimi.

— Ach, te wspaniałe widoki, na które tam patrzeć będzie, rozegrają mu z pewnością lutnię—zauważył Staś.

A Wicunia dokończyła myśl brata słowami:

— I może czytać będziemy niedługo trzeci tom jego poezyi.

— O którym nasi warszawscy *wielcy* znów milczeć będą, jak to miało miejsce po ukazaniu się poprzednich jego poezyi—sarkastycznie zauważył Staś.

— Wie pan — zwróciła się Wicunia do Plichty — nie dziwi mnie, że tacy klasycy jak Osiński i Koźmian, nieczuli na gorętsze porwy, nie ocenili należycie poematów Mickiewicza; dla nich może być *Grażyna* „nudna“ a *Dziady* „śmieszne“, — ale że taki uczuciowy pieśniarz, jak autor *Wielka*, nie zdobył się w *Pamiętniku Warszawskim* na gorące słowo uznania dla Mickiewicza — to jest dla mnie nie do pojęcia!..

— Bo prawdopodobnie Brodziński, ten człowiek o gołębiem sercu, nie chciał zrazić Mickiewicza surowszą krytyką ustępów, które mu się nie podobały, więc wołał już nic nie pisać.

— Ha, może. No, a teraz przejrzymy balady Schillera.

I przy tych słowach Wicunia sięgnęła po leżącą na stoliku książkę.

Po chwili ciemnowłosa głowa dziewczynki wychyliła się pod krąg światła płonącej lampy, oczy Wicuni spoczęły na kartkach otwartej książeczki, i ozwał się jej głos wdzięczny, nieco przytłumiony:

„I jam w Arkadyi począł życie nowe“...

Staś wsłuchiwał się w treść wiersza, siedł za natchnieniem poety; Plichta przeciwnie, myślą zawisł na pierwszej strofice schillerowskiej *Rezygnacyi*, i patrząc na Wicunię, pograżał się uczuciem w jakąś prawdziwą Arkadyę szczęścia, którą go darzył zawsze widok tej dziewczeczki.

Kiedy tak młodzież bujała na skrzydłach poezyi, starsi panowie wręcz odmienną prowadzili rozmowę.

Jowialna, zazwyczaj uśmiechnięta twarz Dembka, zasępiała się teraz wyrazem troski, przez łagodne jego oczy przeziarał niepokój; pan Zablocki zaś nieruchomem, trochę zmartwiałem spojrzeniem wpatrywał się w deseń rozesłanego pod ich nogami kobierca.

— Niepokoi mnie to bardzo — mówił Dembek szeptem — zdaje mi się, że uwaga jest na nas obu zwrócona, więc może być źle. A namiestnik Zajączek nie ujmie się za nami z pewnością, boć to jest tylko powolne narzędzie w ręku mocniejszego...

— Przyszłości się nie cofnie — rzekł z cicha Zablocki — to, cośmy robili dawniej, dyktowane było przez poczucie obowiązku.

— Ale o tem on pamięta — żywo podchwycił Dembek.

— Cóż ty myślisz, co nam należy robić? — spytał ojciec Wicuni, podnosząc na mówiącego

swe głębokie, jakby z dna duszy patrzące oczy.

Tamten bezradnie ręce rozłożył.

— Nie wiem. Na wolę Boską trzeba się zdać. Gdyby to książę Czartoryski był namiestnikiem, jak się tego ogólnie spodziewano, to inaczejby było, — miałby nas kto bronić, ale tak... — machnął pogardliwie ręką.

— Źle, źle się dzieje — szepnął Zabłocki.

— I to będzie miało następstwa, zobaczysz! Cóż my, stare próchna; rozsypimy się tu czy tam, mała różnica, ale ci — tu pan Dembek ruchem głowy wskazał siedzącą w oddaleniu młodzież, — toż oni mają gorącą krew! Jeśli wybuchnie, drażniona ciągle...

— Może do tego nie dojdzie...

— Daj Boże! daj Boże i to, aby te chmury, co się zaczynają gromadzić nad głowami nas obu, rozpiechły się i nie ugodziły w nas piorunem...

### III.

Był dzień niedzielny listopadowej jesieni, trochę mroźny, ale bezśnieżny, szarawe chmury wzbite wysoko przesłaniały horyzont i nie pozwalały przebić się słonecznym promieniom.

Na ulicach miasta, zwłaszcza na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie ruch dnia tego był wzmożony, albowiem w gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbywało się dziś posiedzenie.

W głównej, wielkiej sali, przeznaczonej na zebrania publiczne, tłumno już było i gwarno, chociaż uroczystość jeszcze się nie rozpoczęła. To też Wicunia, siedząca obok pana Dembka w amfiteatrze, swobodnie rozglądać się mogła wokół.

A było na co patrzeć.

Główną ścianę pięknej tej sali zdobił portret naturalnej wielkości ówczesnego cesarza i króla, Aleksandra I, malowany przez słynnego malarza Blanka. Nawprost niego wisiał również



dużych rozmiarów portret króla Fryderyka Augusta, będący pamiątką niedawno minionych czasów Księstwa Warszawskiego. Pod ścianami wokół sali bielily się marmurowe popiersia tych, co byli dla narodu swego jakby sercem, zawsze gorącym i żywym, — więc stał tam na kamiennym wsporniku Kochanowski, Sarbiewski, znajdował się Krasicki, Naruszewicz, Alберtrandy i tylu jeszcze innych ukochanych i wielkich. — Wpośrodku sali miejsce dla członków i niewielka katedra dla tych, co przemawiać mieli.

W drugiej części sali wznosił się amfiteatr dla publiczności i szereg łóż, rozdzielonych lekką koryncką kolumnadą. W amfiteatrze i łóżach znajdowało się już mnóstwo osób, cała inteligentna i artystyczna Warszawa ściągnęła tu dzisiaj, zwabiona zarówno ciekawością ujrzenia towarzyskiej śmietanki ówczesnej stolicy Królestwa Kongresowego, jak i posłyszenia zapowiedzianej na ten dzień mowy Ludwika Osińskiego, głośnego poety, profesora warszawskiego uniwersytetu i sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— Moc ludzi — rzekł Dembek do Wicuni.

Ona wtedy cderwała oczy, utkwione dotąd na sali i poczęła rozglądać się po amfiteatrze.

Tu już było prawie pełno. Śród mnóstwa osób zobaczyła w tym samym rzędzie, jeno dalej trochę siedzącą Kocię Stępińską w towa-

rzystwie matki i brata, — u wejścia do amfiteatru, w pobliżu drzwi stał Plichta i Staś. Dojrzeli właśnie Wicunię i obadwaj powitali ją uśmiechem i oddalonymi ukłonami. Jedną z łóż zajmowała księżna Izabella Czartoryska obok córki swej, Maryi księżnej Wirtemberskiej. Oczy dziewczynki przyłgnęły do tych obu twarzy z wyrazem zachwytu.

— To one obie.. — szepnęła bezwiednie, a serce jej w szybkich biciach dopowiedziało ustom: One, te patryotki, miłośnice ludu, budowniczkii lepszej doli dla swoich rodaków, one które odwiedzają pensye, kontrolują plany nauk, postępy uczennic, one, wołające: „precz z francuszczyzną z naszej polskiej mowy, bo ona sama zdolna jest wyśpiewać wszelkie uczucia i wypowiedzieć wszelkie myśli“ — to one obie, dobre córki narodu...

W tej chwili posłyszała głos Dembka:

— Już idą, patrz!

Jakoż w dole na sali, między białemi popiersiami przesuwając się zaczęli, ku miejscom swoim dążąc członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Było ich sześćdziesięciu, każdy pracował w dziale nauk sobie właściwym. Wówczas ujrzała Wicunia idącego tam księdza Staszica o obliczu łagodnem, pełnem słodyczy, jeno oprzedzonem jakąś mgłą smutku, — patrzyła na poważną twarz Juljana Ursyna Niemcewicza, widziała obu Śniadeckich, Andrzeja i Jana,

dwie gwiazdy promienne na niwie polskiej nauki, — szedł i biskup krakowski, Woronicz, poeta i myśliciel, którego gorąco wielbił obecny tam członek Towarzystwa, książę Adam Czartoryski, był i Molski, i Kajetan Koźmian i wielu, bardzo wielu innych, z których każdy był jako ta pszczoła pracowita i czynna, znosząca miód do ula narodowych bogactw umysłu i serca.

Rozległ się srebrzysty dźwięk dzwonka, — na katedrze stanął Ludwik Osiński. Twarz jego ściągła, bez zarostu wydawała się pełną skutkiem podwiązania szyi według ówczesnej mody halsztukiem, z ponad którego wysuwały się, do policzków sięgające, końce białego miękkiego kołnierzyka. Chwilę stał w milczeniu, a bystre, duże oczy słynnego mówcy spoglądały jakby w zamyśleniu przed siebie. Aż ozwał się głosem donośnym i uroczystym.

Mówił o miłości ojczyzny, potoczyście z bogactwem pięknych porównań i krasomówczych zwrotów. Postawił słuchaczy swoich, jakoby przed ogniskiem, na którem płoną drzewa rozmaite i kruszcze cenne i ku któremu płyną podsycające płomienie, krople cieczy przeróżnych. W wielkim ognisku spalało się wszystko i zmieniał na żar i na promienie świetlne. To ciepło i światło, to według mówcy, jest dusza narodu, im więcej jej dać, tem dalej sięgną jej promienie i silniej grzać będą. Dusza na-

rodów wielkich bije poprzez wieki słupami ognia podniebnych.—Nie na tem zależy, by płomień rozlewał się po przestrzeni szerokiem koliskiem, dość gdy sięga wysoko; latarnia morska nie wspiera się na szerokiej podstawie, cała jej wartość im wyżej się wzbija. Oto małeńka terytoryalnie Grecya do niedawna była podwaliną sztuki i piękna. A czemu? Bo tam grek każdy, jako dobry syn ojczyzny niósł w sercu iskrę narodowego ducha, rozpalał ją i składał na wspólnem ognisku.

I wiódł dalej mówca swą koturnową mowę, żądając od współbraci takiego, jak u greków, miłości pełnego posiewu pracy, nauki, szlachetności i piękna, by zaświadczyć wiekom, że i w naszym narodzie dusza jest silna, niezłomna i nieśmiertelna.

Mówił długo, a gdy skończył po sali przebiegł szmer, a po nim rozległ się poklask uznania i podzięk. Następnie ojciec Wicuni odczytał sprawozdanie z czynności Towarzystwa, dokonanych przez ciąg tego roku, wymieniał wszystkie dzieła opracowane przez członków i wydane kosztem instytucji.

Posiedzenie zamknięto, publiczność zaczęła się rozchodzić.

W przedsionku, gdzie urządzona była szatnia, Staś Zabłocki i Plichta z trudem odszukali w tłumie osób pana Dembka z Wicunią. Znalazszy ich wreszcie, dopomogli w wydobyciu

okryć, poczem we czworo skierowali się ku drzewom. Tu nasze towarzystwo spotkało rodzinę Stępińskich.

— *A la bonheur!* doskonale! pójdziemy razem! — mówiła Kocia żywo, kiedy towarzystwo wzajemnie się witało, prócz Plichty bowiem i młodego Stępińskiego wszyscy byli sobie znajomi. Staś przedstawił paniom swego przyjaciela, one zaznałomiły Wicunię z bratem Koci, poczem opuszczono gmach Towarzystwa.

— Idziemy w jedną stronę do placu Zygmunta, prawda? — szczebiotała Kocia, poprawiając fałdy swej futrzanej *Kryspinki*, taką bowiem nazwę miały ówczesne modne futrzane okrycia, przypominające kształtem podłużne peleryny.

— A ojczulek gdzie? — pytała Wiciunię mama Stępińska, osoba starsza wprawdzie, ale ruchliwa, niskiego wzrostu, tęga, ubrana ciemno, lecz strojnie.

— Ojciec musi jeszcze pozostać w kancelaryi Towarzystwa Przyjaciół Nauk i spisać sprawozdanie z dzisiejszego posiedzenia — odpowiedziała dziewczynka.

Zaraz po wyjściu na ulicę zbliżyła się ona do pani Stępińskiej, obok której z drugiej strony szedł Dembek, zaś trzech młodzi panowie postępowali z tyłu za paniami. Kocia przez krótką chwilę rozmawiała z Wicunią, lecz wnet głowę zwróciła poza siebie i o coś zapytała Stasia Zabłockiego, a gdy ten zbliżył się do

niej z odpowiedzią, strojna panienka zaraz wysunęła się z szeregu i podążyła z nim naprzód. Wtedy młody pan Zdzisław Stępiński podsunął się ku Wicuni, a Plichta, zrównawszy się z towarzystwem, szedł obok Dembka.

— Obserwowałem panią podczas posiedzenia — mówił z galanterią do Wicuni młody Stępiński — całą uwagę pani pochłonęła mowa dzisiejszego prelegenta; nic i nikogo nie widziała pani wokół siebie.

— Rzeczywiście, bo mowa warta była uwagi — odpowiedziała, patrząc na idącego obok niej młodzieńca.

Był on spokojny, szpeciła go jednak pewna lalkowatość, jakby nadmierne wypieszczenie całej postaci. Małe, ciemne baczki zczesane miał stosownie do ówczesnego zwyczaju ku policzkom, czarne wąsiki sterczały śpiczastymi końcami po bokach czerwonych, słodko uśmiechniętych ust młodzieńca, ubranego tak, jak matka i siostra, podług ostatniej mody.

..... Doskonały deklamator z Osińskiego, przewyższa tym talentem niejednego z warszawskich aktorów — mówił zwrócony twarzą i całą postacią ku Wicuni.

— Pan często bywa w teatrze? — spytała.

— O ile dają przedstawienia francuskie; na nasze nudne sztuki nie chodzę.

— Nie wszystkie sztuki są nudne — rzekła — grywany od niedawna *Pan Geldhab* Fredry



jest przecież doskonałą komedią. Ja nawet uważam — dodała — że Wojciech Bogusławski stara się bardzo o urozmaicenie repertuaru dramatycznego: oprócz sztuk oryginalnych polskich wystawił i szekspirowskiego *Hamleta* i *Emilię Galotti* Lesinga i wiele innych sztuk tłomaczonych.

— *Certainement, mademoiselle*, te utwory mają swoje zalety, ale i jedną wspólną wadę: prócz komedyi francuskich wszystkie inne dzieła sceniczne są zawsze zbyt rozwlekłe i, co za tem idzie—nudne. Zresztą to objaw zupełnie naturalny, francuzi mają usposobienie tak żywe, tak łatwo nuży ich jednostajność, iż, rzecz prosta, autorowie francuscy, chcąc dogodzić publiczności, muszą się strzedz, jak ognia, rozwlekłości, to sprawia, że ich utwory są pełne werwy i nigdy nie nużą. Ja doskonale znam francuzów, zwłaszcza paryżan, dwa lata pośród nich przebyłem.

— Pan kształcił się w Paryżu?

— Tak, wielki świat najlepszym jest mentorem. — Wszystko mnie zachwycalo w Paryżu, prócz... zdziwi się pani, gdy powiem: prócz kobiet! Nasze warszawianki o całe niebo są od tamtych ładniejsze.

Pan Stępiński mówił to z kurtuazją, patrząc na Wicunię, przytem głowę zlekka pochylił, jakby ruchem tym chciał złożyć hołd tej, która

również była przedstawicielką wychwalanego przezeń typu.

Ale jej nie spodobało się snąć, ani to co mówił z przesadną galanterią modny młodzieniec, ani cała jego postać, to też, chcąc przerwać rozmowę, zwróciła głowę w przeciwną stronę, ku idącej obok niej starej pani Stępińskiej. Ta rozmawiała właśnie z Dembkiem.

— Cóż synalek pani dobrodziejki zamierza teraz robić? Wszak już studia prawne ukończył? — pytał właśnie Dembek.

Na co pani Stępińska odrzekła:

— Tak, ukończył, a dla nabrania poloru wyprawiam Zdzisia do Francyi. Teraz myślę postarać się dla niego o miejsce w Komisji Skarbu. Pojmuje pan, młodzieniec z pięknem nazwiskiem, ułożony wzorowo, może zrobić karierę...

Wicuni do tej rozmowy mieszać się nie wypadało, przysłuchiwała się tylko w milczeniu z twarzą ku starszym zwróconą.

Naagle oczy jej spotkały utkwione w sobie spojrzenie idącego opodal Plichty, spojrzenie badawcze, rozumne i jakby o coś pytające...

Jednocześnie prawie pan Zdzisław znowu coś opowiadać jej zaczął. Nie zwróciła ku niemu głowy, ani słuchała tego, co mówi; patrzyła na Plichtę. I wydało im się obojgu, że ponad banalną, pustą, jakby przyziemną treścią słów, wypowiedzianych przez matkę i syna, —

oni oboje pomknęli kędyś w wyż, gdzie jasno, rzeźwo i młodo!

To krótkie zbratanie się ich wzroku, w którym podzielili się ujemnymi wrażeniami, jakie wywierał na nich lalkowaty kawaler, nasunęło Wicuni oderwaną zwrotkę Mickiewiczowskiej pobudki:

Patrz nadół! Kędy wieczna mgła zaciemnia  
Obszar, gnuśności zalany odmetem:  
To ziemia!...

Nie wiedziała, czy w jej własnej głowie zrodziło się to przypomnienie, czy wzrok Plichty poddał je sugestyjnie.

Teraz, machinalnie słuchając opowiadań Stępińskiego, Wicunia powtarzała dalej wiersz ich ukochany:

Młodości! tobie nektar żywota  
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:  
Serca niebieskie poi wesele,  
Kiedy je razem nic powiąże złota.

Zdała sobie jasno sprawę, że mocna a złota nić wspólnych upodobań, dążeń i jednakich ukochań łączy ją z Plichtą i ze Stasiem.

— Jenó, że tam, gdzie oni czynem dosięgnąć mogą, ja tylko sercem i pragnieniem podążam za nimi—myślała.

I wyobraziła sobie tę obszerną salę, gdzie o poranku gromadzą się ci, co radziby lotom swoim dać „orlą potęgę“ i mieć „jako piorun“ ramię...

— Ten pewno między nimi się nie znajduje — myślała, patrząc na wypieszczoną, niemęską postać pana Zdzisława.

Tymczasem idąca naprzód Kocia widocznie znudziła się już towarzystwem, bo raz wraz głowę zaczęła odwracać i rzucała ciekawe spojrzenia na Plichtę. Zajął panienkę ten poważny młodzieniec o twarzy urodziwej, o pięknych i rozumnych oczach.

Właśnie w tej chwili przechyliła ku niemu strojną główkę i zaszczebiotała głosem, przypominającym świergot ptaszęcy.

— Pan Stanisław opowiada mi cuda o przyjaźni obu panów, *decidément*, jesteście panowie jak duchowi bracia syamscy.

I zatrzymała na nim swe powłóczyście spojrzenie, czekając na odpowiedź.

— Istotnie tak jest, pani ma słusność — odrzekł Plichta grzecznie, ale nie zbliżył się do niej.

Po chwili Kocia zaśmiała się głośno i znowu jakieś oderwane zdanie rzuciła ku niemu, i tym razem jednak pozostał Plichta przy Dembku.

Panienkę obraziło widocznie takie zachowanie się młodego człowieka, bo nadąsała się trochę i już głowy w jego stronę nie odwracała.

— *Voilà*, doszliśmy do rozstajnych dróg — zawołała Kocia, gdy całe towarzystwo zatrzymało się na placu Zygmunt.

— Proszę, proszę, panno Wicuniu, do nas, z braciszkiem, w każdy czwartek przyjmujemy — mówiła pani Stępińska do rodzeństwa.

— Dziękuję pani — odrzekła dziewczeczka, pochylając się do ręki starszej damy.

— *Mes compliments à papa* — wtórowała matce Kocia, podając rękę Stasiowi. Właśnie wypadła jej z rąk batystowa chusteczka, Plichta podniósł takową i podał panience. Skinęła mu głową trochę lekceważąco, on jednak zarówno jej poprzedniej zbytniej uprzejmości, jak i obecnego nachmurzenia nie zauważył wcale.

Wreszcie towarzystwo się rozeszło, rodzina Stępińskich skierowała się w ulicę Senatorską, Plichta i Staś, wróciwszy na Bednarską, śpiesznie podążyli przez most na Pragę, a pan Dembek odprowadził Wicunię do domu.

Zmierzchało się już, kiedy w parę godzin później, dziewczynka, pozostająca sama w domu, stanęła w oknie ich skromnej bawialni i zapatrzyła się na szarawe nurty Wisły, płynącej w oddali.

Jakiś smutek ogarnął był przestwór, omglone drzema, wznoszące się na przeciwległym brzegu rzeki, zdawały się rozesłanemi nisko ciemnymi chmurami, zrzadka świeciły latarnie na drewnianym moście, łączącym miasto z Pragę, i wielka cisza jesiennego wieczoru rozsączyła

się po ziemi.—Dziwna, nieznana dotąd tęsknota przeniknęła duszę Wicuni, budziło się w niej gorące pragnienie lotu ku czemuś użytecznemu, trwałemu, coby jej życiu nadało realną wartość.

— Bo przecież — myślała — ja jestem już człowiekiem, mnie nosi moja ziemia ojczysta, żywi mi ciało i duszę ojczystymi plonami, a ja jej nic za to nie daję.. Ot pan Henryk, Staś nie żyją tak marnie; oni obadwaj są użyteczni, pracują dla przyszłości, ale ja?... Muszę powiedzieć ojcu o tych moich strapieniach, bo czuję w sobie tyle sił i tyle gorącego pragnienia. „Ten dzień, który minął, już nie wróci — mawiała mamunia — i już go niczem dobrem zapelnąć nie można“ — a tu tyle dni jest przede mną. Bo przecież jeśli się kształcę, jeśli gospodaruję w domu tatusia, to to jest tylko spełnianie prostego obowiązku względem siebie samej i swojej rodziny; ale ojczyzna? ona dotąd ma miejsce tylko w mojem sercu, ale nie w mojem życiu; — ja ją tylko kocham, ale nic dla niej nie czynię...

Ściemniało się coraz bardziej, na moście Wiślanym, wspartym na szeregu łodzi, których wielkie zarysy czerniały w oddali, widać było małe snujące się światelka: to przechodnie mijali most, niosąc pozapalane latarki.

Poruszyły się drzwi, do bawialni zajrzała Marysia.

— Panienko, przyszedł ksiądz Falkowski.

Ucieszyła się Wicunia, żywo poskoczyła do oświetlonego już przedpokoju.

Jakoż stał tam, zdejmując wielki płaszcz z ramion, ksiądz Jakób Falkowski, rektor i założyciel instytutu głuchoniemych w Warszawie, twórca wielu książeczek dla ludu.

— Jak się masz dziecinko!—powitał ją serdecznie, gdy Wicunia pochyliła się do jego ramienia.—Mówi mi Marysia, że ojciec jeszcze nie wrócił...

— Nie, tatuś miał być dziś z wieczora u pana Dembka i Staś też tam będzie razem z nimi—objaśniła, prowadząc przybyłego do bawialni, gdzie służąca zapalała właśnie lampę.

— O, szkoda, miałem do ojca interes. No, trudno — mówił, siadając na staroświeckiej kanapie.

— A ja zamierzałam jutro rano przyjść do kościoła świętego Aleksandra i odnieść księdzu proboszczowi tę koronkę szydełkową, którą zrobiłam do obrusa na wielki ołtarz.

— Bóg zapłać, moje dziecko. A trzeba, trzeba oszyć czemś nowem jeden z obrusów, już mi stara Petronela, co tam dozoruje, parę razy o tem wspominała. Tylko, wiesz? tak daleko od was ze Starego Miasta, aż tam do mnie na plac świętego Aleksandra, a ty, moje dziecko nie jesteś czasowa, to daj-że mi lepiej teraz tę swoją robótkę, a ja sam ją poniosę.

Pobiegła dziewczeczka i po chwili oglądał

ksiądz Falkowski misterną, gwiazdkami białymi usianą robotę Wicuni.

— Śliczne, śliczne—wychwalał—takie delikatne, jakby to pajączek był utkał!

Ale ona nie zwracała uwagi na te pochwały, bo myśl jej uporczywie krążyła wokół jednego ze słów wypowiedzianych przez starego rektora, a które to słowo harmonizowało z przedchwilowym nastrojem jej duszy. Aż nagle pochyłoną głowę uniosła, i patrząc trochę smutno w dobrotliwą twarz kapłana, rzekła:

— Otóż to właśnie — choć ksiądz rektor powiedział, żem ja „nie czasowa“, ale tak nie jest, nawet przeciwnie, bo ja mam dużo wolnego czasu, z którym nie wiem, co robić i trapią mnie z tego powodu wyrzuty sumienia...

— Jakże to? — zdziwił się.—A toć mój siostrzan, Henryś Plichta, rozpowiada mi zawsze cuda o twej pracowitości! „Nigdy—powiada—nie widziałem jej siedzącej beczynnie; żeby o którejkolwiek porze dnia przyjść do nich, ona zawsze czemś użytecznem zajęta“. Toż Henryś mi to raz wraz powtarza.

Jakaś świetlana, rumieńcem przysłoniona radość ogarnęła duszę Wicuni; zdało się jej, że kropla nektaru, pełna słodocy, rozplynęła się w jej sercu. Przycichły w niej myśli, osnuła ją różowa jutrzienka szczęścia, tylko powieki drżały lekko nad ciemnymi jej oczyma, jak u tych, co wzrok mrużą przed rozbłysłem na-



gle światłem... Kiedy po chwili źrenicę podniosła, miała wrażenie, że w głębi serca skryła drogocenną perłę.

Glosem trochę cichszym, niż pierwej, rzekła:

— Ja jestem zajęta, prawda, ale to jeszcze za mało, starczyłoby dnia na jakąś pracę trwalszą, użyteczniejszą.

Znowu zwróciła myśli do tej troski, co nurtowała jej duszę i dodała:

— Bo, jabym chciała być dobrą córką mojej ziemi ojczystej.

— Ach, dziecko kochane, toż łatwe do spełnienia — szeroko ręce rozkładając, powiedział ksiądz rektor — czyż to w naszym kraju już wszystkie światła płoną? Czyż rodacy twoi wszyscy już nakarmieni, odziani, oświeceni? Czy to niedola już z tej ziemi starta?—W morzu nędzy tylu pośród nas żyje; tylu jest chorych, których nikt nie dogląda, prostaczków, których nikt nie naucza, smutnych, których nikt nie pociesza... idź, gdzie chcesz, a wszędy praca miłości cię czeka.

Zamyślił się na chwilę ksiądz Falkowski, jego łagodne oczy popatrzyły uważnie na Wicunię i spytał:

— Cóż ty, dziecinko, najlepiej lubisz robić?

— Uczyć — odpowiedziała.

— No to doskonale, zaraz pracę będziesz miała. Znasz Stanisława Jachowicza?

— Ja tylko słyszałam o nim, że się zajmuje nauczycielstwem i piśmiennictwem dla dzieci.

— Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Jemu, uważasz, bardzo na sercu leży sieroca niedola, bo Jachowicz to taki samarytanin. Ot, zbiera on dziecinę bezdomne i rozciąga nad nimi ojcowską pieczę. Przy Towarzystwie Dobroczynności, tu, niedaleko od was, na Krakowskiem Przedmieściu założył szkółkę dla tych piskląt opuszczonych, i słyszałem od niego w tych dniach, że zebrał już fundusz na otwarcie pierwszej u nas ochronki. „Tylko mi nauczycielek brak — powiada do mnie — jest ich kilka, ale mojego drobiazgu spero, więc tamte nie wydolają wszystkiemu“.

Zajaśniała radością twarz Wicuni.

— Ach, księżo proboszczu, ja im pomogę! Proszę, proszę wstawić się za mną do pana Jachowicza! przecież do ochronki codziennie na parę godzin przychodzić mogę...

— Dobrze, ot widzisz, i jest gotowa praca dla ojczyzny. A może ty znasz jeszcze jakie panienki, namów je też do tego dzieła.

Dziewczynka przyłożyła palec do ust, pomyślała chwilę.

— Może Kocia Stępińska, choć nie wiem, spróbuję ją namówić.

A stary rektor, o umyśle światłym, lecz pelen wielkiej, chrześcijańskiej prostoty, mówił, patrząc przed siebie.

— Ja już, widzisz dziecko, pod wieczór mego życia się przybliżam,—ot z winnicy Pańskiej pora już zejść; żyło się, pracowało, myślało, trochę tam książeczek do nabożeństwa po sobie zostawię: ale, wiesz ty, gdyby mnie kto zapytał, do jakiego duchowego dorobku tem życiem mojem doszedłem? jakich prawd i mądrości nauczyła mnie ziemską pielgrzymka? jaką radę za testament zostawić-bym chciał ludziom, pytającym mnie tak; jak ty przed chwilą: „co robić należy“ — odrzekłbym tylko: Patrzcie na życie Chrystusa; z tych wielu czynów, jakie On zostawił, obierzcie sobie po jednym. Pusto ci w życiu, zapełnij kilka chwil dziennie tem, czem i On życie zapełniał; masz wątpliwości jakie? — w Jego życiu odpowiedź na wszystko się znajdzie... Toż my chrześcijanie, mamy wielki skarb, niewyczerpane źródło dobroczynne we wspomnieniach Chrystusowego pobytu na ziemi: jeno czerpać, jeno brać stamtąd nie pamiętamy...

Wicunia słuchała tych słów w skupieniu, z dłońmi splecionemi na swej żałobnej sukience, wsparta ciemnowłosą głową o wysoką poręcz fotelu.

Nagle w saloniku zadźwięczały srebrzyste uderzenia małego alabastrowego zegarka, stojącego w rogu pokoju na dębowej półeczce. Wicunia drgnęła, jakby w nagłym przestachu, obróciła głowę i spojrzała na zegarek.

— Ach, już siódma! Tatuś tak długo nie wraca! Zawsze się czegoś boję, kiedy ojciec jest poza domem...

— A dawno wyszedł?

— O dawno, jeszcze w południe, razem wyszliśmy na posiedzenie...

— Pewnie za chwilę powróci. Ale ja już czekać na niego nie będę, pora mi wracać.

Z temi słowy powstał ksiądz Falkowski, i odprowadzony przez Wicunię, udał się do przedpokoju.

Wkrótce dziewczynka pozostała znowu sama. Z początku chodziła po saloniku, myśląc o tem, co też pan Jachowicz poruczy jej spełniać w ochronce, czego ona uczyć będzie te sierotki małe, siostrzyczki swoje biedne, dzieci tej samej matki ojczyzny, która i ją na łonie swoim nosi. A potem, rozweselona temi myślami i pełna otuchy, przeszła do jadalnego pokoju.

Tu przywołała do siebie Marysię, i jak każdego wieczoru, zaczęły kolejno głośno czytać *Żywoty Świętych* Piotra Skargi.

W ciszy niezmaconej płynęły młodymi głosami wypowiedane słowa wielkiego kaznodziei, ukazywały się we wrażliwej wyobraźni obu czytających te wielkie a świetlane postacie ludzi czystych i mocnych, co po ciernistej drodze cierpienia szli do Boskiego tronu.

Raptem w pobliskiej kuchence skrzypnęły drzwi otworzone gwałtownie...

Do jadalni wpadł Staś Zabłocki. Twarz miał przerażoną, pobladłą, usta mu dygotały...

Siostra zerwała się z krzesła.

— Wiciu! ojca uwięzili — krzyknął.

#### IV.

Była godzina ranna, ale niezbyt wczesna.

W katedralnym kościele świętego Jana, w kaplicy ukrzyżowanego Zbawiciela odprawiała się Msza cicha. Dzień listopadowy, posępny, obleczony szarem, ołowianem niebem, słabo oświeślał świątynię, to też w mroku tym jarząco płonęły wysokie na ołtarzu świece, rzucając krwawe blaski na nieliczną gromadkę modlących się tu osób.

W pośrodku kaplicy, przysłoniona żalobnym welonem, Wicunia Zabłocka leżała krzyżem na kamiennej posadzce. Dusza z niej uleciała i przypadła w niemem błaganiu do Serca Chrystusa, który tam wysoko nad ołtarzem wisiał przybity do drzewa.

Dźwięczały nad jej głową dzwonki ministrantów, to półgłośnie słowa kapłana, odprawiającego Mszę, — a ona jakby ogłuchła, zmartwiała, czuła jeno nad sobą to wszechmocne a litościwe serce Ukrzyżowanego, któremu te-



raz, przejęta śmiertelną trwogą, oddawała w opiekę swego uwięzionego ojca.

Do kruchty kościelnej wszedł ksiądz Falkowski, osłonięty wielkim, fałdzystym płaszczem. Rozejrzał się po mrocznej świątyni, a potem szybko skierował kroki ku kaplicy, gdzie odprawiano nabożeństwo. Tu zobaczywszy Wicunię, leżącą na podłodze z rozpostartymi w znak krzyża ramionami, przykląkł w pobliżu.

Kiedy Msza się skończyła, pochylił się nad dziewczyną i dotknął jej ramienia, mówiąc z cicha:

— Już czas.

Wstała, pocałowałszy kamienną płytę, gdzie przed chwilą wspierało się jej czoło, błagalne spojrzenie rzuciła ku Ukrzyżowanemu, czarny welonik opuściła na twarz, — i oboje szybko wyszli z kościoła.

Na ulicy Świętojańskiej wsiedli do dorożki, ksiądz Falkowski kazał woźnicy podnieść budę, bo drobny, suchy śnieg zaczął prószyć, i pojechali w stronę Kazimierzowskiego pałacu.

Milczeli zrazu, pogrążeni w rozmyślaniach ważnych, aż ksiądz rektor ozwał się po chwili:

— Biskup Woronicz był u księcia Czartoryskiego wczoraj z wieczora i polecał mu tę prośbę, z jaką teraz do niego jedziemy. Cóż... książę Adam tak uwielbia biskupa Woronicza, że nie byłby w stanie niczego mu odmówić; to też przyrzekł, rzecz prosta, wstawić się za na-

mi do Wielkiego Księcia Konstantego. Ale gdy ty sama księciu Adamowi opowiesz wszystko, to rezultaty mogą być jeszcze lepsze.

Głos mówiącego obijał się o słuch Wicuni, nie wnikając prawie do jej umysłu, albowiem znowu myśli jej wirowały wokół tych strasznych słów: „Ojciec w więzieniu“, które jak krwawa błyskawica przeszywały co chwila jej mózg. Chwilami wydawało jej się, że je dopiero teraz posłyszala, teraz dopiero rozumie ich znaczenie, obejmując pełnią świadomości. Z poza czarnego, krepowego welonu przegląda twarz Wicuni blada jak opłatek, ciemne, cieniem podkrążone jej oczy patrzą martwo przed siebie.

Jadą, a ksiądz Falkowski mówi dalej:

— Że teraz Staś i Plichta są u namiestnika Zajączka, to bardzo dobrze. Niewiadomo, na jaki humor Wielkiego Księcia dziś się natrafi; on do całej rodziny Czartoryskich żywi niechęć, więc może lepiej mu się spodoba wstawiennictwo generała Zajączka. A jeśliby cesarzewicz odmówił i Czartoryskim i Zajączkowi, to trzeba nam zakołatać do księżnej Łowickiej, może ona ostatecznie zdziała coś dla waszego ojca i pana Dembka.

Umilkł ksiądz Falkowski, popatrzył na Wicunię, i serce mu się ścisnęło z żalu, więc rzekł, by jej dodać otuchy:

— Poruszymy, dziecinko, wszystkie sprę-

żyny, co w naszej mocy będzie, uczynimy; Bóg miłosierny!

Zmąciły się wtedy oczy Wicuni i usta zadrgały, ale ni jęk ni łzy nie dobyły się z jej piersi.

Po chwili zatrzymała się dorożka przed pięknym gmachem, który zamieszkiwał chwilowo książę Adam Czartoryski.

Książę Falkowski wysiadł z Wicunią i oboje skierowali się do pałacowego przedsionka. Pokojowiec, przybrany w liberyę ozdobioną herbami rodu Czartoryskich, dopomógł im zdjęć wierzchnie okrycia, poczem udał się do pokoiów książęcych z doniesieniem o przybyłych.

Wkrótce powrócił oznamując, że książę pan czeka. Powiódł rektora i Wicunię po szerokich, kobiercem wysłanych schodach na wyższe piętro pałacu i wprowadził ich do obszernego gabinetu.

Panowało tu światło trochę przyćmione, bo wysokie okna przysłaniały jedwabne zasłony. Ściany pokoju były również ciemną materią obite, kobierzec zaścielał posadzkę, wokół mieściły się piękne, dębowe szafy, pełne książek, a pośrodku okazałe biuro, przy którym stał mężczyzna w wieku średnim, słusznego wzrostu.

Był to syn generała Ziem Podolskich, książę Adam Czartoryski.

Sklonił się przybyłym i ruchem ręki, wska-

zując stojące w pobliżu skórzane fotele, rzekł uprzejmie:

— Biskup Woronicz mówił mi wczoraj, w jakim interesie państwo przybywacie.

— Do księcia pana z prośbą o wstawienie za uwięzionym ojcem tej dziewczki — powiedział książę Falkowski.

Wtedy Wicunia odsunęła z czoła krepowy welonik i w niemem błaganiu podniosła wzrok na Czartoryskiego. Duże, piękne oczy księcia Adama, określone brwią łukową, patrzyły na nią w smętnej zadumie. Brat księżnej Wirtemberskiej przypominał siostrę wyrazem twarzy poważnym, pełnym mądrości i jakiejś niezgłębionej tęsknoty. Serce Wicuni pod wpływem tego wzroku zadrgało, w błyskawicznej chwili uświadomiła sobie, że ten, przed którym stoi, to syn tej samej co i ona ojczyzny, syn dobrego, miłujący swoją ziemię czynem i trudem, zaparciem się wszelkich żądań osobistych; ten, w którym się odbiły cnoty jej narodu, a do którego duszy błędy tego narodu przystępu nie miały. Wydało się Wicuni, że ta wyniosła postać jest zarazem jakąś świetlaną siłą, która może swoje ręce zdoła zwrócić ku tej otchłani, w jaką pogrążono jej ojca...

Więc instynktownym ruchem wiedziona, cicho i szybko przeszła po kobiercu, i zbliżywszy się do księcia, bez słów osunęła się do jego kolan.

Wówczas zadrgały piersi dziewczyny, lzy uderzyły jej do oczu, a z ust dobyła się gorąca prośba:

— Pani! zlituj się .. zlituj nad ojcem!..

Ksiązę Czartoryski pochylił się ku niej.

— Ja wszystko zrobię, dołożę usilnych starań... — mówił, podnosząc klęczącą Wicunię. — Biedne dziecko! — dodał półgłosem, posadziwszy ją w fotelu.

— Kiedy się uspokoiła, ksiądz Falkowski opowiadać zaczął szczegóły, dotyczące się aresztowania pana Zabłockiego i Dembka.

— Tacy zacni dwaj ludzie — wtrącił ksiązę, słuchając z uwagą słów rektora. — Ojciec pani zasługuje na to, aby wszyscy rodacy na ratunek mu pobiegli — mówił teraz, zwrócony do Wicuni — ten człowiek łączy się uczuciem, myślą, działalnością swoją z każdym objawem naszego narodowego życia; nie brak go przy żadnym krajowym wypadku. — Ja dziś jeszcze będę u Wielkiego Księcia Konstantego. Za parę dni wracam do Genewy, gdzie obecnie przebywa moja żona. Szczęśliwie się złożyło, że dotąd nie wyjechałem z Warszawy. Choć... — tu ksiązę spojrzal na księdza Falkowskiego i troska odbiła się w jego oczach — chociaż nie wiem, czy co zdziałam; cesarzewicz nie jest mi życzliwy. Może raczej należałoby się zwrócić wprost do Najjaśniejszego Pana...

Uradował się na te słowa ksiądz Falkowski i rzekł:

— Cesarz chyba nie odrzuci przyjaciela z lat młodzieńczych, jakim pan jesteś dla cesarza Aleksandra?

Bolesny, goryczą zaprawiony uśmiech przewinął się niedostrzegalnie po pięknych ustach księcia Adama. Po chwili rzekł:

— Cesarz przebywa obecnie w Taganrogu, nie wiem jednak czy prośba moja doręczona mu będzie, jest on bowiem ciężko chory. — W każdym razie — dodał — prosić trzeba, reszta w ręku Boga.

Po chwili Wicunia opuściła z księdzem Falkowskim tak życzliwe dla nich progi ksiązęcego domu.

Wieczorem dowiedziała się od Stasia, że i namiestnik Zajacek przyrzekł wstawiennictwo swe za ich ojcem; to też nadzieja oswobodzenia obu uwięzionych zaczęła żyć, umacniać, oświeślać serca dwojga sierot.

Popłynęły teraz dla Wicuni i Stasia dni ciche, zapełnione pracą i tą przytłaczającą ich piersi tęsknotą za oddalonym, zmieszaną z niecierpliwem wyczekiwaniem. Zdało się im obojgu, że tam, w niedalekiej przyszłości jaśnieje, zbliża się ku nim zwolna upragniona chwila, w której ta umęczona głowa ojcowska przytuli się do ich dziecięcych piersi. To znów raptem wstrząsał im dusze lęk śmiertelny, czy starania

wpływowych osób zdolają rozkuć kajdany zaciśnięte wokół rodzicielskich dłoni. Nareszcie zdziałano tyle, że wielki książę Konstanty pozwolił dostarczyć obu więźniom niezbędnych rzeczy i przyrzekł wkrótce użyczyć zezwolenia na widzenie się ojca z dziećmi.

Wyczekując tej pożądanej chwili, Wicunia ze zdwojoną gorliwością oddała się pracy. Codzień chodziła na kilka godzin do ochronki Jachowicza i tu uczyła biedne sierotki nauk początkowych, wieczorem szyla bieliznę, reperowała ubrania lub przepisywała dla Stasia potrzebne mu notatki z wykładów uniwersyteckich, wreszcie czytywała głośno z Marysią i gosposdarzyła skrzętnie w ich sierocym domu. Dużo czasu również poświęcić teraz musiała korespondencji z krewnymi, zamieszkałymi na wsi, skoro bowiem rozeszła się wieść o uwięzieniu pana Zablockiego, odezwała się zaraz dalsza rodzina ich ojca z gotowością niesienia pomocy opuszczonym dzieciom. W okolicach Lublina żyła zacna matrona, pani Węgłęńska, z domu Zablocka, ona właśnie rada była sprowadzić do swego domu Wicunię i Stasia. Gdy jednak oboje z wdzięcznością podziękowali krewnej za dobre dla nich chęci, tłumacząc, że teraz nie sposób oddalić się im z Warszawy, pani Węgłęńska, podjęła starania, by odzyskać pewien fundusz ich ojca, znajdujący się oddawna w rękach jednego z jej powinowatych,

a uważany już przez samego pana Zablockiego za stracony. Dzięki zabiegom pani Węgłęńskiej, fundusz ten miał być wkrótce odebrany, a zacna matrona ze swej szkatuły posyłała sierotom procent od owych wyratowanych przez nią pieniędzy.

Często również odwiedzała teraz Wicunia swą przelożoną, panią Wilczyńską, która udzielała dawnej uczennicy wielu wskazówek do dalszego kształcenia się i przyrzekała nawet wystarać się dla niej o płatne lekcye, dzięki którym Wicunia zwiększaćby mogła dochody materialne ich obojga.

Książd Falkowski przychodził niekiedy wieczorem do nich wraz ze swym siostrzeńcem, Henrykiem Plichtą, ten ostatni zawsze wynalazł jakąś nową książkę dla Wicuni, przyniósł ciekawą wieść ze świata, usiłując dziewczynce choć chwilę jedną osłodzić, choć na krótki moment odwrócić w inną stronę smętne jej rozmyślenia.

I tak dnie szły ciche i jednostajne, niby spiące się w klepsydrze szare ziarenka piasku, gdy w pierwszych dniach grudnia tegoż roku 1825 obiegała Warszawę wieść o śmierci cesarza Aleksandra II, a w ślad za nią nieoczekiwana przez nikogo nowina, że tron po zmarłym monarsze obejmie nie cesarzewicz Konstanty, lecz młodszy brat jego, Wielki Książę Mikołaj Pawłowicz, albowiem domniemany na-



stępcę tronu; Wielki Książę Konstanty, rzekł się był korony jeszcze za życia cesarza Aleksandra I, jak o tem opiewał nieznany dotąd dokument, złożony w archiwach państwa.

Wobec tak doniosłych wypadków przybladła dla Wicuni i Stasia nadzieja prędkiego oswobodzenia ojca, nastąpił bowiem teraz rządzą silniejsze i baczniejszy nadzór nad uwięzionymi.

Nadomiar złego Wicunia zaczęła spostrzegać od pewnego czasu zmianę w usposobieniu brata: sposepniał, w łagodnych dawniej jego oczach rozgorzał teraz blask jakiś niezdrowy, stał się milczący, niekiedy szorstki, a w rozmowach z siostrą rzucał czasem takie słowa, które przyspieszały bicie jej serca i budziły myśli pełne trwogi.

Raz z wieczora Staś zastał ją płaczącą; kiedy się dowiedział, iż przyczyną łez Wicuni jest coraz dotkliwsza tęsknota za ojcem i niepokój o jego losy, rzekł niespodzianie, a z ożywieniem wielkiem:

— Wiesz ty, Wiciu? Ja myślę rzucić uniwersytet! Na co mnie dziś te wszystkie studia! Ot, na ochotnika wstąpiłbym! Wielki Książę Konstanty to znakomity wódz i mentor! Jakie my dzięki jemu, pulki teraz posiadamy! Toż dziś nasza armia jest pierwsza w Europie, bo on wprost z namiętnością oddaje się wydoskonaleniu wojska polskiego. Oby je tylko licze-

nie zwiększyć, oby wszystkich wyćwiczyć do boju. Jest się o co i z kim rachować!

Wicunia, słysząc to, pobladła.

— Jednak—rzekła po chwili—ojciec życzy sobie, abyś został prawnikiem...

— Ja prawem, ani wymową nic i tak nie zdziałam, więc na cóż mi prawo?—odrzekł Staś gwałtownie.

— A pan Plichta czy wie o tem, co mi mówisz?

— Henryk za rok kończy uniwersytet i musi wstąpić do wojska, a ja chcę być z nim razem... Ot, strzemię przy strzemieniu walczyć, gdy Bóg da... Bo my—dodał posępnie—należymy do tego pokolenia, które będzie zmuszone rozpaść krwawą lunę nad swoją ojczyzną.

Długo tej nocy Wicunia zasnąć nie mogła; słowa brata padły jej na serce ciężarem kamienia; to z trwogą je rozważała, to znów starała się zdobyć na spokój myśli zupełny, — aż wreszcie doszła do przekonania, że cobądź się stanie, ku jakiegokolwiek stronie potoczy się siła wypadków, jej dziś należy brata uspokajać, nie podniecać gorących jego myśli, a przeciwnie, nasuwać mu chłodną rozagę i krytyczny pogląd na własne jego zamiary i chęci.

To postanowienie utwierdził w niej ostatecznie Henryk Plichta, kiedy w parę dni później podzieliła się z nim swemi strapieniami.

— Niech pani nad Stasiem czuwa — rzekł

jej z powagą — to dusza bohatera, ale usposobienie nazbyt wrażliwe; trzeba go strzedz, by przed czasem nie wybuchnął, nam omyłek popełniać nie wolno.

Wszystko to, co w ostatnich miesiącach przeżyła Wicunia, sprawiło, że dusza dziewczyny dojrzewała nieomal z dniem każdym. Siedemnaście lat skończyła dopiero w ostatnich dniach grudnia, a daleka była od niej bez troska, swoboda, wesół, niefrasobliwy śmiech młodości i te wszystkie blahe, trochę dziecinne myśli, które zapelniają zazwyczaj młode główki dziewczęce. Przeciwnie Wicunia musiała się uzbrajać w spokój, w cierpliwość, by skuteczną nad bratem rozciągnąć opiekę. Często znękana spadłymi na nich ciosami, w obecności Stasia siłą woli sprowadzała na usta uśmiech, by obudzić w nim ufność i przelać w serce braterskie trochę pogody i wiarę w lepszą przyszłość. Staś nie zdawał sobie sprawy z usposobienia siostry, bezwiednie tylko poddawał się jej wpływowi; natomiast Plichta odgadywał te wysiłki, na jakie teraz Wicunia zdobywała się ciągle; rozumiał, że pogoda jaśniejąca na jej czole nie jest bynajmniej odbiciem pogody duszy; wiedział, ile męstwa było w jej pozornym spokoju, gdy mówiła o ojcu i o nadziei jego rychłego powrotu do domu. To też młodzieniec z coraz więk-

szem uwielbieniem patrzył na Wicunię, coraz wyżej cenił ją i kochał.

Nareszcie urzeczywistniły się gorące pragnienia: dzieci otrzymały zezwolenie na widzenie się z ojcem.

Pan Zabłocki i Dembek uwięzieni byli w klasztorze Karmelitów na ulicy Leszno. Tu komendantem-dozorcą więźniów był kapitan Niewodowski \*), polak; człowiek ten otoczony był pogardą ogółu, lecz tę pogardę lekcewał, rodacy od niego stronili, a on z jakąś cyniczną obojętnością przyjmował wszystko. To też kiedy Staś i Wicunia dowiedzieli się od Plichty, który właśnie przyniósł był im od namiestnika Zajączka kartkę wstępu do Karmelickiego więzienia, że muszą się najpierw zameldować kapitanowi Niewodowskiemu, oboje przerazili się niezmiernie, a Staś rzekł:

— Nie daj Boże, aby widok tego zdrajcy wyprowadził mnie z równowagi,—toć jego żelazna ręka ciśnie z pewnością okrutnie ojca i pana Dembka!

Plichta, słysząc to, uśmiechnął się tylko, potem zamknął drzwi, wiodące z jadalni do kuchni,

\*) Postać historyczna.

gdzie krzątała się Marysia, poprowadził rodzeństwo w koniec pokoju pod okno i rzekł zcicha:

— Co powiem pani i Stasiowi, niech nigdy wyjawione nie będzie... to taka tajemnica, o której prócz Boga i naszych nieszczęśliwych więźniów — nikt wiedzieć nie powinien... — I głos Plichty przeszedł do szeptu: — Niewodowski nie jest szpiegiem, nie jest zdrajcą... on tylko przyjął na siebie pozór złego polaka. Dlatego Wielki Książę uczynił go dozorcą więźniów, ufa mu; a Niewodowski, wziąwszy na siebie tę rolę komendanta twierdzy, oddaje największe usługi uwięzionym rodakom: ułatwia im porozumienie się z rodziną, z przyjaciółmi, komunikuje papiery, pieniądze, uczy sposobów bronięcia się podczas indagacji — jest pośrednikiem w wybawianiu skazańców... Oł, kim jest Niewodowski! Czcić można go tylko w najskrytszych głębinach serca, a ustami należy głosić jego potępienie dla dobra tamtych uciśnionych i gwoi bezpieczeństwa jego samego.

Po twarzy Stasia Zabłockiego przelatowały teraz płomienie, wzrok mu rozgorzał, cichym, stłumionym głosem rzekł:

— Tylu naszych już działa, a tylko my młodzi wciąż jesteśmy beczynni!

— Jeszcze nie pora, Stasiu — spokojnie i z powagą rzekł Plichta — nam trzeba jeszcze mężnieć duchowo, wyrabiać w sobie wolę żelazną, wzorować się na tych, których się czci...

— Tak, pan mówi słusznie — szepnęła Wicunia — my wszyscy nosimy dotąd tylko zapal w sercach, aleśmy jeszcze siebie nie wyprobowali. Ja nawet to widzę po sobie: śmierć mamy zламala mnie z początku, ale powoli z tego bólu spłynęły na mnie siły moralne, dawniej nieznane; potem, kiedy przyszło nowe nieszczęście: uwięzienie ojca, ja już mniej uzewnętrzniałam cierpienie, nauczyłam się, nawet nie wiem kiedy, panować nad sobą... i teraz widzę, że rozważa, to taka dźwignia w życiu, która nie pozwala roztrwonić ani zapалу ani sił napróžno...

W myśl jej słów, patrząc z przywiązaniem serdecznym w piękną twarzyczkę Wicuni, rzekł Plichta:

— To i dla pani także siła woli, moc rozkazywania sobie samemu ma urok?

— Ach tak! i wie pan — wszystko, co budzi we mnie entuzjazm, wydaje mi się, jakby wzorem, do którego powinnam dążyć i w sobie samej urzeczywistniać.

Wtedy Plichta, bezwiednym ruchem wiedziony, ujął rękę Wicuni i usta do niej przychylił.

— Szczęśliwy ten — pomyślał — kto życie z tobą połączy...

Nazajutrz w malej celi karmelickiego więzienia, na wąskiej *pryczy*, tak nazwanem łóżku więziennem, siedziała Wicunia obok ojca, Staś

i pan Dembek stali w pobliżu i wszyscy gwarzyli zcicha.

— Ot, widzicie, kochani nasi goście—mówił Dembek—że choć mamy drzwi zamknięte przed nosem, ale nam tu tak bardzo źle nie jest. Psawarte tylko nasze jedzenie: kawa bez kożucha, wołowa pieczeń bez śmietany, a w kaszy niemaszkarków, zgoła do niczego nie podobny taki wikt,—i z tego właśnie powodu trochęśmy obaj pochudli.

— Pan żartuje — odpowiedziała Wicunia, smutnemi oczyma patrząc w przybladłą twarz przyrodnika—oni tu z pewnością ani kawy, ani żadnych pieczeń więźniom nie dają.

— Pożywienie dosyć zadawalniające—uspokajał pan Zabłocki.

— A więc to tęsknota za tobą, moja jaskółeczko, trapi nas srodze i ona jest przyczyną niefortunnego naszego wyglądu — żartował po swojemu Dembek. Udawał wesołość, ale oczy miał przygaste i jakieś bolesne zmarszczki około ust. Pan Zabłocki zdrobniał jeszcze, a twarz jego przybrała barwę opłatka, żrenice jeno świeciły mu gorączkowym ogniem.

— Trochę męczą śledztwa — mówił teraz—odbywają się zwykle w nocy, ze snu wprost biorą nas na badanie; trzeba w jednej chwili oryentować się w położeniu, baczyć na pytania, na własne odpowiedzi, — oto, co wyczerpuje...

— Bo zbajać się przecież nie można — wtrącił Dembek.

Rozmowa się urwała, spadło na nich wszystkich jakieś głuche, ciężkie milczenie. I ci dwaj więźniowie i tych dwoje młodych, których narazie tutaj dopuszczono, od chwili spotkania się w celi więziennej mieli piersi przepelnione takim jękiem, który przez bolesny skurcz gardła przebić się nie może. Serca nawet same dusiły to lkanie, boć przecie chwila obecna winna im osłodzić długie, bolesne dni rozłąki, co już minęły i co jeszcze przyjdą... Wypłakać lzy można po rozstaniu, więc teraz nie trzeba ich dopuszczać, aby nie przysłaniały widoku ukochanych twarzy. Mieszała się im w duszach radość z boleścią, trwoga o losy wzajemne z nadzieją oswobodzenia.

Cichym, stłumionym głosem mówił teraz Staś o staraniach, podjętych celem uwolnienia ich obu, przez różne wpływowe osoby. Słuchali go więźniowie, nie gasząc jego nadziei.

— Wola Boska, wola Boska—szeptał tylko pan Zabłocki.

— Co Bóg da, to będzie—powtarzał zcicha i Dembek.

Potem opowiedziały dzieci o tem, co robią, jak czas spędzają. I znowu ogarnęło ich milczenie. Wicunia przytuliła się do piersi ojca, on ramieniem otoczył jej ciemnowłosą głowę. Zwolna lzy płynąć poczęły po twarzy Wicuni, na



ten widok zmaciły się i oczy Stasia. Pan Zablocki przymknął powieki, walcząc ze wzruszeniem.

Wówczas Dembek, choć i jemu zaszkliły się źrenice rzekł, uśmiech na usta przywołując:

— A, dzielna młodzieź, ot, przyszłe dźwięnie społeczeństwa: byleco, zaraz się mażą! Czasu wojny i prześladowań, to, choć głowę utną, ale zdradzić nie należy, że boli. O Spartanach czytajcie, na żelazo przekuwajcie sobie duszę... jeno serce zachowujcie złote, i niech w niem zawsze trzepoce się ten nasz umiłowany ptak białoskrzydły.

— Święte słowa twoje, mój przyjacielu serdeczny—rzekł wówczas pan Zablocki. Podniósł głowę i jasno spojrział na dzieci.

— Cobądź ma się z wami stać, jakikolwiek nas los czeka, niech on zawsze na dobro ojczyzny naszej wyjdzie—rzekł.—Jeśli tej matce naszej nieszczęśliwej potrzebny nasz ból, niech on się święci; jeśli my jej niczem już innem służyć niezdolni, tylko cierpieniem, to, bodajby ono już nas nie opuszczało.

Łkanie niepowstrzymane wydarło się z piersi Wicuni.

A ojciec mówił z cicha:

— Tak, dziecko, tak,—im więcej kto cierpi, tem wyżej powinien wzbić się duszą, bo tam źródło jego ukojenia. Ze spełnionego obowiązku, z każdego zacnego postępuku płynie

słodycz niewypowiedziana; zadowolenie wewnętrzne nagradza tak hojnie! Nieszczęściem w życiu jest tylko grzech, błąd; tego tylko strzedz się należy, tylko to jedno powinno człowieka zasmucać. A my, cóż?—służymy wszyscy naszej ojczyźnie, kochamy ją goręcej niż samych siebie, pozwolono nam zobaczyć się, uściskać, to i na co nam łzy wylewać? Niech Bóg pochwalony będzie za tę chwilę, którąśmy tu razem przeżyli.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

V.

Umarł Stanisław Staszic...

W pogodny styczniowy dzień 1826 roku, siedł wielotysięczny tłum ludzi wszystkich stanów za trumną tego, który pracą, miłością, wielkim rozumem i niespożytą energią dźwignął swój naród na wyższy szczebel oświaty i dobrobytu.

W ciszy postępowano ze temi zwłokami, niesionemi przez polską młodzież uniwersytecką, aż tam, ku białym murom kościoła Kamedulów na Bielanach. Tam chciał spocząć ten wielki syn swej ziemi, po którego śmierci cały naród uczuł swoje sieroctwo i przyoblekł żałobę. Już się oddalono od miasta, już pogrzebowy orszak sunął po malowniczej drodze, wznoszącej się wysoko nad brzegami Wisły, a tłum nie malał, owszem wzbierał, rósł w liczbę, że zdało się cały kraj przyszedł żegnać tego, którego dobroczynna ręka rozdawała za życia hojne dary. Bo Staszic pamiętał o wszystkich: troskliwie okiem śledził za potrzebami spót-

braci, zapobiegał cierpieniom, bogacił swoim przykładem, był jak to słońce bijące światłem i ciepłem.

Oto garść prochów, drobne szczątki cieleśne skryła ubożuchna trumna, za chwilę i ona zniknie z przed oczu tych, co ze czcią na nią patrzą, mogiła ją przysłoni, bo dokonało się już jedno życie ludzkie. Jeno dobro, co płynęło z tego życia, nie zagaśnie — jeno te liczne, obecne tu fale ludzkie, dla których ufundował szkoły, którym rozdał posiadaną przez się ziemię i zaoszczędzone od własnych potrzeb pieniądze — nie zapomną o tym opiekunie miłosiernym.

W testamencie swoim — myśli w tej chwili Wicunia, idąc śród wielkiego orszaku obok pani Wilczyńskiej—Staszic nie pozwolił zapalić więcej nad sześć świec przy swojej trumnie—a tu tyle serc płonie młością dokoła jego zwłok, w tylu oczach błyszczą łzy! Tak, jego trumnie nie potrzeba pospolitego oświetlenia, nabytego za pieniądze, bo ona idzie do grobu w pochodniach naszych serc gorejących. Chciał, by go chowano, jak ubożego chrześcijanina; boć on przecież najuboższy, rozdał wszystko, nie pozostawiał dla siebie nic, posuwał oszczędność do ostatecznych granic, dla siebie samego żałowałby najmniejszego wydatku: chodził w wyszarzanej sutannie, żywił się najskromniej, byle zebrać dużo pieniędzy i użytecznie obdarować

nimi rodaków. Żądał, aby jeden koń powióził jego karawan, a tutaj setki rąk wyciągały się po zaszczyt dotknięcia jego trumny...

I oczy Wicuni pogoniły za tą trumną, kołyszącą się w oddali na ramionach jej brata Stasia, Plichty i innych studentów, niosących drogocenne te szczątki.

Przed konduktem idą włościanie Hrubieszowscy, obdarowani tak szczerze przez Staszica ziemią i dobroczynnemi prawami,—dalej dzieci bezdomne z przytułków imienia Staszica, za nimi szereg sióstr miłosierdzia ze szpitali wzniesionych również przez niego, i rzemieślnicy z domów zarobkowych i całe zastępy biednych, których on przyodziął i nakarmił, którym otarł łzy, dał byt samodzielny, których wyuczył, oświecił...

Oczom Wicuni zdało się, że całe to wielotysięczne mrowie ludzkie—to dzieci tego zmarłego, które on posilił pracą całego życia, dzieci miłujące i osierocone.

Żałobny orszak doszedł do Bielán i skierował się ku bramom klasztoru Kamedulów. Rozjęczały się dzwony pieśnią pogrzebową, złożono trumnę przy otwartym grobie, kolejno przystępowali do niej mówcy, żegnając gorącym słowem tego, co odchodził,—rozbrzmiały pienia serdeczne — i posępne, grobowe *Requiem aeternam*.

Wtedy jakby zamierzchno na niebie, bo

słońce stoczyło się już za horyzont, i tylko luny krwawo rozesłały się na zachodzie.

Drzewa Bielańskiego lasku ciche, oszronione, zdawały się odbijać hen, skróś powietrze, po polach, daleko, niby głośnie lkanie całej ziemi polskiej po tym synu swoim dobrym i umiłowanym.

W kilka dni po pogrzebie Sztaszica, w niedzielne przedpołudnie przysła Kocia Stępińska w odwiedziny do Wicuni. Panienka była jak zwykle rozszczebiotana, wesola i strojna, a gdy do pokoju, gdzie rozmawiały obie, wszedł Staś Zabłocki, Kocia zaśmiała się srebrzyście i, wyciągając do młodzieńca małą rączkę, obciśniętą w jasną rękawiczkę, zawołała:

— *Dieu merci*, że pan jest w domu, muszę od pana zasięgnąć pewnych ważnych informacji.

— Słucham—rzekł Staś, siadając w pobliżu.

— Proszę pana, czy to prawda, że młodzież uniwersytecka naznaczyła ogólną żałobę po śmierci Staszica?

— Żałoba jest narodowa, nie myśmy ją narzucili—odpowiedział.

— *Mais vraiment, c'est ridicule!* jakże można! karnawał! nie dawno rozpoczęły się bale, a panowie każecie wszystko przerywać!

— Trudno; naród poniósł wielką stratę, trzeba nasz żal i cześć należną zmarłemu uwidocznić.

— A czy nie możnaby go odżalować w poście? karnawał tak krótki! Kilka tanecznych zabaw zapowiedziano na ostatnie tygodnie; u nas w przyszły czwartek miał się odbyć wieczorek... nie, *vraiment*, to jest *barbare!*

I zafrasowała się nie na żarty ładna panienka, — niecierpliwym ruchem poczęła odgarniać złote loczki, wychylające się jej na czoło z pod błękitnej opaski, przytem raz wraz przygryzała czerwone wargi, rzucając niechętne, prawie gniewne spojrzenia na siedzącego opodal młodzieńca.

— Doprawdy, moja Kociu — odezwiała się Wicunia — że trzeba się powstrzymać pewien czas od huczniejszych zabaw: niech miasto nasze, któremu Staszic świadczył tyle dobrodziejstw, choć przez parę tygodni przybierze pozór powagi.

— A czyby nie można — zawołała Kocia z nagłym ożywieniem, zwracając się do Stasia — czyby nie można zabawić się u nas, ale przy szczerze pozamykanych okiennicach? Albo jeszcze lepiej, tańce przenieść do jadalnego pokoju od podwórza? z ulicy nic widać nie będzie.

Staś uśmiechnął się ironicznie.

— Jak państwo chcą, ale żaden student na ten bal nie przyjdzie.

— *Oh là, là!* co pan mówi?! A z kimżeby panny tańczyły?!



— Same z sobą, skoro panie chcą koniecznie tańczyć.

— *Fi donc!* toby nie miało sensu, także! wielka mi przyjemność!

Staś wkrótce pożegnał panienki i wyszedł, a one pozostały same.

— No — rzekła Kocia z determinacją — trudno, skoro nie wolno urządzać balu, to już muzyki nie sprowadzimy i sukien nie podekolujemy, a tylko odbędzie się u nas zebranie siedzące. Bardzo żałuję, moja droga, że ty nie przyjdiesz, choć wierzaj mi, przesadzasz; żalobę nosisz już piąty miesiąc, więc teraz powinna być lżejsza. Ale skoro nie chcesz być u nas w przyszły czwartek, to chociaż wyświadczyć mi jedną przysługę...

— Z całą gotowością — odrzekła uprzecznie Wicunia.

— Ale to, co ci powiem, należy do spraw *très délicate*.

Tu Kocia zesunęła się na brzeg krzeselka, musnęła koronki, przystrajając jej stanik, utkwiała swe niebieskie jakby porcelanowe oczy w Wicuni i rzekła z igrającym na ustach filuternym uśmiechkiem.

— Uważasz — ciągnęła dalej — ten pan Plichta, którego poznałam wtedy, pamiętasz, gdyśmy razem wracali z posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, otóż on mi się ogromnie podoba... robiłam mu wprawdzie wtedy *des*

*petits affronts*, ale to głupstwo! On jest *extrêmement* w moim guście, — trochę chłodny, ale to właśnie budzi zajęcie. Słowem mam *la tête pleine* pana Plichty! Jak ty myślisz, czy on by do nas przyszedł, gdyby Zdzisia wyprawił do niego z zaproszeniem na nasz czwartek?

Wicunia, słuchając tego, miała oczy utkwione w deseniu dywanu, rozesłanego pod ich nogami.

— Nie wiem — odrzekła zwolna, wzroku nie podnosząc — pan Henryk w niewielu domach bywa, — nie wiem, może przyjdzie do państwa...

— Ach, *ma chère*, składam to w twoje ręce z zupełnem zaufaniem, namów go, proszę cię; mam wlekką ochotę *tourner lui la tête*, śliczny chłopiec! Twój Staś także bardzo miły, no, ale to jeszcze *blanc bec!* a tamten *un garçon charmant*.. — Ale, ale, wiesz? Zdzisław zachwycony tobą. „Klasyczna piękność ta panna Wicunia!“ — mówił mi już ze sto razy. Chciał tu gwałtem dziś ze mną przyjść, ale mu powiedziałam, że godzina na pierwszą wizytę nie jest *correcte*, a ja później wybrać się nie mogłam, bo o drugiej jedziemy z całem towarzystwem do Mokotowa. *Adieu ma chérie*, już muszę uciekać! A pamiętaj, żeby *le beau Henri* był u nas we czwartek!

Trzepotała jeszcze przez chwilę, ucałowała

Wicunię i jak barwny motyl wyfrunęła z małego, skromnego mieszkania Zabłockich.

Wicunia po wyjściu Koci czuła się dziwnie nieswoja, — posmutniała, dzień jej się dłużył, wyczekiwała z niecierpliwością powrotu Stasia na obiad, nie mogąc sobie nigdzie znaleźć miejsca; po raz pierwszy zaczęła jej ciężać samotność. Dla rozrywki chciała coś przeczytać, otworzyła szafkę oszkloną, zapelnioną książkami i długo wahała się w wyborze, — wreszcie dobyła mały tomik smętnych marzeń Larmartina, poety uczuć melancholijnych, wznoszących się do czystych sfer idealizmu. Siadła w saloniku na małej kanapce i poczęła przeglądać: *Les meditations*.

Zatopioną w poetycznych dumaniach francuskiego liryka zastał ją Staś, gdy powrócił do domu. Zaráz potem zasiedli oboje do obiadu.

Wicunia była zamyślona, rozmawiali z sobą niewiele. Nagle dziewczyna spytała:

— Stasiu, wszak Kocia Stępińska jest ładna?

— Ładna? broń Boże! — ruszył pogardliwie ramionami. — Lala bezmyślna! może się podobać głuptasom z rodzaju ich Zdzisia; bo przecież każdego rozsądnego mężczyznę razić będzie swoją nienaturalnością, swoją fryzurą, nad którą pewnie wiele godzin pracowicie spędza; każdego odepchnie od niej ta pustka, co wieje ze wszystkich jej słów.

Wicunia słuchała z uwagą, potem rzekła:

— Jednak twarzyczkę Kocia ma nawet bardzo ładną, tylko, tak, mówisz słusznie, szpeci się tą manierą światowej panny. — Mnie się zdaje zresztą, że to nie ona sama jest temu winna, ale otoczenie.

— Pewno; „skoroś wszedł między wrony, kracz-że jak i ony“. — mówi przysłowie.

Cała rodzina Stępińskich żyje w tej sferze, którą, wiesz jak ja nazywam? poprostu potomkami Targowiczan! Bo i wtedy — ciągnął dalej Staś — za czasów Targowicy nasz kraj padał i dźwigał się z upadku; grzechy przeszłości przygniatały naszą ziemię, a jednocześnie ręce uczciwych jej synów usiłowały odwalić to brzemie, pod którym zdawała się ginać i wtedy, tak jak dziś tragiczne było nasze narodowe życie: a jednak wtedy iluż było ludzi ślepych na to, co się wkoło działo, oddających się bezmyślnej, ogłupiającej zabawie. Ci nieodrodnici potomkowie koryfeuszów Targowicy żyją między nami zawsze, czas trawia na hulankach, marnują życie, siły, pieniądze i nieświadomie staczają napowrót ów ciężki głaz niedoli na duszę naszego kraju.

Na tem skończyła się rozmowa rodzeństwa.

O zmierzchu przyszedł Plichta i ksiądz Falcowski. Po wieczery stary rektor wziął pod ramię Stasia Zabłockiego i chodząc z nim po oświetlonej bawialni, opowiadał młodemu stu-

dentowi ciekawe wieści z Francyi, jakie otrzymał właśnie od jednego ze swoich znajomych.

— Wyobraź sobie mój chłopcze — mówił z ożywieniem — że choć początki panowania Karola X we Francyi, budziły pewne nadzieje w umysłach ludzi pragnących postępu i rzetelnego dobra, jednak teraz zachodzą takie fakta, które wróżą cofanie się wstecz: cenzurę wzmocniono, rząd dąży do ograniczeń, nawet ścieśniają swobodę wydawnictw książkowych. Jeśli tak dalej pójdzie, to tej Francyi, która od szeregu wieków jest ogniskiem nauki, jest wielką krzewicielką idei liberalnych, grozić będzie nieomal zagłada druku i unicestwienie życia umysłowego.

Nie lepiej dzieje się i w Prusiech, król Fryderyk Wilhelm III, choć w roku 1815 przyrzekł swemu narodowi konstytucję, jednak dotąd w życie jej nie wprowadził.

— On jednak ma sympatyę narodu — wtrącił Staś.

— Et, co to tam za sympatya, — jeśli poddani życzliwem okiem patrzą na dwór królewski, to tylko dzięki temu, że tam żyje, działa i urok swej anielskiej dobroci hojnie roztacza małżonka, piękna królowa Luiza...

Tak gwarząc, przechadzali się obadwaj, zatopieni w politycznym świecie ówczesnej Europy. Powędrowali w rozmowie i do wiedeńskiego Burgu, gdzie rządy sprawował nad ce-

sarstwem austriackiem Franciszek II, powolne narzędzie w rękach swego ministra Metternicha, przeciwnika wszelkich liberalnych dążeń.

Ot, skąd wieje ożywczy powiew — mówił dalej ksiądz Falkowski — to ze starożytnej Grecyi, z cudnej Hellady: bohaterskie jej walki wieńczy powodzenie, zdobywają niezależność. Za wielkim Byronem który przed dwoma laty, wybijającej się na wolność Grecyi złożył w ofierze najpierw majątek a potem i życie, — podąża wielu ochotników, wiele serc gorących bije dziś tem samem tętnem.

Staś słuchał teraz z zapartym oddechem, a potem rzekł:

— Takie przykłady, jakie daje Europie Grecya, bywają niebezpieczne.

Ale ksiądz Falkowski nie zauważył jego stłumionych słów i roztaczał dalej współczesny obraz dziejowy.

W tym czasie Wicunia stojąc w otwartych drzwiach, wiodących do jadalni, rozmawiała z Plichtą o rzeczach potocznych, ale wciąż miała na myśli dzisiejsze zlecenie swej koleżanki. Wreszcie po krótkiej chwili namysłu powiedziała, patrząc swemi gwiazdzistemi oczyma w dorodną twarz młodzieńca:

— Była tu dzisiaj Kocia Stępińska.

Potem wzrok spuściła i rzekła:

— Oni pana będą prosili do siebie na ze-

branie. — I jeszcze dodała: — Niech pan tam pójdzie...

Plichta milczał zrazu, przenikliwie popatrzył na nią, aż rzekł:

— Czy pani sobie tego życzy?

Zmieszało ją to pytanie.

Cóż ja...? — zaczęła zająkując się — ja przecież... Tam ma być zabawa..

— Pani wie, że ja takie zabawy potępiam.

To jest — poprawiła się żywo — ja źle to określiłam: tam tylko zbierze się towarzystwo na wspólną rozmowę.

— W jakim celu pani mnie namawia?—Coś, jakby żal do niej dźwięczał w jego męskim głosie.

Wicunia to uczuła i w pierwszym odruchu serca chciała mu wszystko opowiedzieć szczerze; ale wnet przyszła rozważa i jakby ostrzeżenie, że nie należy zdradzać zaufania powiernicy, więc tylko powiedziała wymijająco:

— Pan pędzi życie takie pracowite, że rozrywka mu się należy

Plichta rzekł cicho z odcieniem goryczy:

— A ja sądziłem, że mnie się należy trochę szczęścia...

Zabiło jej serce w piersiach żywo; aby przerwać milczenie, co teraz nastąpiło, aby na inne tory zwrócić rozmowę, która ją niepokoiła, rzekła Wicunia:

— Czytałam dziś Lamartina, pan wie, *Le*

*lac*, on tam wypowiada śliczną inwokację do szczęścia, mówi: „*O wy, szczęścia chwile, zatrzymajcie skrzydła swoje.*“

Plichta głowę ciemnowłosą wsparł o futrynę drzwi, patrząc gdzieś w dal przed siebie.

— Ja tak samo wołam w duszy do tych chwil, które tutaj spędzam, aby powstrzymały lot swój chyży...

— Czemu? — bezwiednie, w drżeniach serca padło z ust Wicuni.

— Bo tutaj jest moje szczęście... — odpowiedział z wolna. Czarne jego oczy szczerze, otwarte, pełne uczucia patrzyły teraz prosto w jej źrenice.

— Czy pani mnie potępi za te słowa?—spytał, nie spuszczając z niej wzroku.

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy.

— Ja przed panią duszę moją otwarłem, więc niech mi pani swojej nie zamyka.

Wezbrały jej piersi oddechem wysokim.

— Dusza moja jest przy panu — szepnęła cicho Wicunia.

Rozjaśniło się teraz życie nad Wicunią Zablocką, odżyła nadzieja w lepszą i pogodniejszą przyszłość. Prawda, że ojciec był jeszcze w więzieniu, ale narzeczony jej, Henryk Plichta, utrwał w dziewczynie wiarę, że wkrótce otworzą się przed nim drzwi Karmelickiej twierdzy.



Pani Węgleńska, dowiedziawszy się listownie od Wicuni o jej zaręczynach, zjechała do Warszawy. Zaczyna staruszką roztoczyła teraz troskliwą opiekę nad swymi młodymi krewnymi. Zaraz na wstępie zburczała Wicunię, że jest bledziutką, że za mało uważa na swoje zdrowie, rzadko korzysta ze świeżego powietrza i że powinna dbać o swe siły, bo jej zdrowie i życie jest teraz warunkiem szczęścia koś drugiego.

Odtąd też w pogodne dni jeździły obie miejskim omnibusem aż do Ujazdowa, za którym rozciągał się piękny Belweder, rezydencya Wielkiego Księcia Konstantego.

Wiosna w tym roku była wczesna, słoneczna i ciepła, więc wycieczki zamiejskie pani Węgleńskiej i Wicuni powtarzały się często. Jadąc wielkim, żółtym omnibusem lub przechadzając się pod wysokimi lipami Ujazdowa, wiodły obie rozmowy długie, serdeczne, ważne o przyszłym życiu Wicuni.

Raz pani Węgleńska tak mówiła:

— Ty jesteś Wicuniu nad podziw poważną i zdrowo myślącą dziewczyną, więc pewnie życiowych pomyłek popełniać nie będziesz; jednak posłuchaj rad starej i doświadczonej kobiety. Bo to jeszcze nie dość obudzić w kimś miłość prawdziwą i silną, — wszelkie uczucie ludzkie zmianie ulegć może. Że dziś pan Plichta cię kocha, to jeszcze nie wystarcza; trzeba się sta-

rać, aby to uczucie w jego sercu pozostało dla ciebie na zawsze. Iluż ludzi kocha szczerze przez czas pewien, a potem miłość zagasa. To też powinnaś codziennie iskierkę jakąś do jego uczucia przyrzucić, coraz to nową nicią wspólnych, zacnych dążeń związywać się z nim należy. Niech on cię nie tylko kocha ale i szanuje, ceni za prawosć, za rozsądek, za dobroć. On, dziewczeczko, do ciebie ręce wyciągnął, on da ci swoje imię, on jest tym, któremu winnaś wielką miłość. — Ot, stara jestem, rozglądam się po świecie, a ile płocności ja na nim widzę! Zaślubi jakąś gąska zanego człowieka, i cóż? Jakby nie dorosła do tych wyżyn, na jakie obowiązki ją wniosły: o zabawach pustych jeno myśli, o strojach, o tych paryskich modach, które wydają jej się najważniejszą kwestyą życia. Ot, poprostu ośmiesza siebie, ośmiesza to nazwisko, jakie, ufając jej, mąż jej nościć dozwolił. Dom prowadzi wystawnie, na fatalaszki trwoni pracę męzowską. Dziś cały dzień opowiada o wczorajszej reducie, na której brylowała, niby ta pawica bezmyślna, jutro kłopotać się będzie strojem, który ma włożyć na bal najbliższy, słowem żyje jak dziecko bezrozumne. A życie ludzkie nie jest zabawą, ale obowiązkiem. Człowiek nie odpowiada za piękność ciała, tylko za piękność swej duszy. Nie z ilości strojów i modnych sukien wyliczyć się trzeba na Boskim sądzie, lecz z grzechów swoich, z za-

niedbywań swych powinności, z tego dobrego, co się w wędrówce życiowej spełniło.

Wicunia słuchała i gorącym swem sercem wtórowała słowom matrony. Szczęśliwą się teraz czuła, w duszy miała światło i wielkie niecierpliwe pragnienie, by biedz całą mocą duszy do tego życia czynnego, owocnego, któreby nimbem zasługi uwieńczyło głowy ich obojga.

Stasia i Plichtę obdarzała pani Węgłęńska równą przyjaźnią. Ze Stasiem tylko wojowała staruszka, ilekroć rozmowa potraçała o jego przekonania polityczne.

— Ty, bo we wszystkiem widzisz tylko jedno wyjście — mawiała z uśmiechem — szabelkę pochwycić i rąbać nią po karkach wrogów.

— A czy to ja nie z rycerskiego pokolenia pochodzę?! — odcinał się butnie chłopak.

— Wszyscyśmy potomkami Piasta kołodzieja, który pracą cichą i owocną zakładał kamień węgielny pod budowę narodowego gmachu. Z wielkiego Staszica bierzcie przykład, on nie orężem walczył o życie swego kraju; lecz pracą intelektualną rzucił posiew siły i dobrobytu. Wróg, jako cel naszej zemsty nie powinien istnieć, jego należy uważać jako siłę dla nas zgubną, jeśli jesteśmy od niego słabsi, ubożsi, ciemniejsi. Ale gdy stawać się będziemy silniejszymi, bogatszymi, oświeconszymi od

niego, to jego siła w stosunku do nas zacznie maleć, blednąć, aż i zniknie zupełnie.

Wicunia, Staś i Plichta w towarzystwie pani Węgłęńskiej odwiedzali teraz często więźniów z Karmelickiego klasztoru. Drzwi przed uwięzionymi nie były wprawdzie jeszcze otwarte, ale zdawało się wszystkim, że szaropióry anioł smutku od nich odleciał i jakieś słodkie, błogie światło ogarnęło tę gromadkę ludzi. Pana Zabłockiego radowało uczucie, którem związała się jego ukochana jedynaczka z zacnym młodzieńcem.

Kiedy pierwszy raz kładł im na głowy błogosławiące ręce, rzekł:

— Bogactw materyalnych mieć nie będziecie, ale skarb wielki nosicie w sercach waszych, więc życie pięknie i wysoko.

Ta atmosfera szczęścia, troskliwość opieki pani Węgłęńskiej sprawiły, że i cała postać Wicuni rozkwitać zaczęła jak róża w promieniach słońca.

Jednak ślub młodej pary nie prędko miał się odbyć, Plichta kończył dopiero uniwersytet, Wicunia miała zaledwie rok siedemnasty, to też nie wcześniej jak za dwa lata mieli się połączyć.

Ale i owe dwa lata minęły, a zmiany pożądane nie zaszły. Nad panem Dembkiem i ojcem Wicuni, jakgdyby wieko grobowe zapadło.

W dodatku więzienie karmelickiego klasztoru coraz bardziej zapełniali nowi przybysze, i jakaś duszna, groźna atmosfera ogarnęła kraj cały.

W Warszawie istniał wówczas, założony przez Wielkiego Księcia Konstantego zakład wojskowy, pod nazwą *Szkoły Podchorążych*. Tu, rekrutowana z polskich pułków młodzież doskonaliła się w zawodzie wojennym. Każdy z młodych podchorążych obowiązany był umieć w razie potrzeby poprowadzić do boju nie tylko batalion, ale i cały pułk, brygadę, a nawet i dywizję. Instruktorem w tej szkole był podporucznik gwardyi grenadyerów, Piotr Wysocki, „prawa, uczciwa dusza polska, w całym znaczeniu wyrazu“ \*). Ten garnał do siebie moralną, zacną młodzież, tworzył z niej związki, dążące do szerzenia idei wolnościowych.

Duszą tych związków był Staś Zabłocki, wówczas uczeń Szkoły Podchorążych i Henryk Plichta, już w tym czasie jako skończony prawnik, pracujący w Komisji Sprawiedliwości.

Do iskier, krzesanych przez Wysockiego, a rozdmuchiwanych przez młodych zapaleńców, dorzucił żaru i nowy poemat Adama Mickiewicza, wydrukowany w 1828 roku, *Konrad Wallenrod*, który zelektryzował wszystkich. Tak

\*) Słowa Mochneckiego o Piotrze Wysockim.

wzruszająco przedstawionych uczuć patryotycznych literatura polska nie posiadała do owego czasu. Płomienna miłość ojczyzny wyśpiewana po mistrzowsku, działała z błyskawiczną mocą na zmysły młodzieży.

Już był przygotowany grunt, już drżały napięte struny serca, gdy w 1830 roku zaczęły obiegać nasz kraj wstrząsające wieści z zachodu: pod francuskim Karolem X chwiał się tron, a *rewolucya lipcowa* sięgnęła z Francyi promieniami swymi i do innych ziem Europy: Grecya zdobywała niezależność, Belgia wyzwalała się z dominujących wpływów Holandyi, w Niemczech, we Włoszech, wszędzie wtedy ożywcze tchnienia przewiewały nad ciasną, rdzewiejącą już obręczą zastarzałych form politycznych i społecznych. Tylko tu, pod tem niebem, nad tą ziemią umiłowaną, mroczno wciąż było i głucho.

Pewnego listopadowego wieczoru 1830 roku, w małym saloniku Zabłockich siedziała Wicunia, zajęta przeglądaniem kajetów przyniesionych z ochronki. Co wieczór poprawiała ona dyktanda i ćwiczenia swoich małych uczennic, przygotowywała się sama do lekcyi na dzień następny.

Tak zatrudnioną zastał Plichta. Zaledwie się powitali, zaledwie promienne oczy dziewczyny spojrzały na męską, śniadą twarz mło-

dego mężczyzny, już przebiegł jej duszę lęk niespodziewany.

— Pan, jakieś złe wieści przynosi!...

— Złe — potwierdził Plichta, przetarł dłonią czoło i rzekł: — Cesarz Mikołaj ma ruszyć na czele armii do Francji; będzie wojna despotyzmu z zasadami wolności. Nasze wojsko ma także brać udział w tej wyprawie.

— Nie powinno iść — padło z błędnących ust Wicuni.

— Nie powinno, tak, moja ty bohaterko — rzekł, do ust swych tuląc ręce Wicuni. — Ale gdy nie pójdzie, wiesz, jakie będą skutki?

Spojrzała na niego pytająco.

Z pełnemi smutku oczyma mówił:

— Gdy nie pójdzie na rozkaz monarchy, rozplonie tu luna... krew popłynie... może nie otworzą się już nigdy drzwi więzienne przed waszym ojcem, może wielu z nas polegnie...

— Nie, nie, nie — zaprzeczyła mu Wicunia — niech się to nie dzieje!

— Więc iść na Francję, za którą się niedawno przelewało krew? Strzelać do tych, co kładą życie za tę samą co i my ideę?

Łkanie poczęło wstrząsać jej piersią.

— Widzisz, że iść nie można — zaczął ciicho. — Jeden jest tylko obowiązek i trzeba go spełnić za wszelką cenę.

Targał nią płacz nie powstrzymany, a Plichta mówił dalej:

— Już czas, już pora! na *29 listopada* naznaczyliśmy... wola Boska... wszystkich by w końcu uwięziono... może Bóg poszczęści, może będzie tak, jak tam w Grecji, a potem, Wiciu, gdy z pola powrócę... i ojciec twój tu będzie... i ty już moją...



## VI

Rozpłynęła wojna nad ziemią naszą, dymy pożarów i kurzawa bratniej krwi były ku niebu wraz z okrzykami komendy, zmieszane z hukami armatnim, z zawieruchą bitew śmiertelnych.

Szło wojsko wyćwiczone, karne, prowadzone przez generałów, Chłopickiego, Żymirskiego, Skrzyneckiego, Szembeka z pieśnią zapалу na ustach. „Powinnością naszą—mówili ci dzielni szeregowcy—jest odrzucić obawę, niedopuszczyć wątplenia, z nadzieją i ufnością w Bogu, iść wesoło do boju, walczyć i wytrwać do ostatniego, jeżeli się nie zginie.“

A ku tym pułkom posuwała się zwolna stu-tysięczna armia rosyjska pod komendą marszałka Dybicza i generała Rosena.

Kiedy dnia 7-go lutego od naczelnego wodza polskich sił zbrojnych, księcia Michała Radziwiłła, wyszedł rozkaz podążenia na spotkanie nieprzyjaciela, rankiem, na polach gdzie

się zbierano do wymarszu, odprawiono solenne nabożeństwo na intencję pomyślnej walki.

Dzień był pogodny, niebo czyste i słoneczne. W małym drewnianym domku urządzono kaplicę polową, świerkami wewnątrz umajoną. Mszę błągalną odprawiał ksiądz staruszek siwowłoso, w białym ornacie służyli mu, w komeszki przybrani, dwaj najmłodszy uczniowie ze szkoły podchorążych, — a wokół, na polu klęczało wojsko zmieszane z przybyłymi na tę chwilę mieszkańcami Warszawy; żołnierze opodal swych krewnych, braci, rodziców, sióstr, żegnani przez nich—całe morze ludzkie, zanoszące żarliwe błagania ku wysokim błękitom. Ci uzbrojeni, co za chwilę sformują się w szeregi, mieli w oczach płomień i niecierpliwe pragnienie walk zwycięskich; tamci, którzy żegnali, którzy musieli pozostać, dusili w sercach trwogę bolesną, czuli tchnienie śmierci, unoszące się nad tym wielkim zastępem ludzi, co mieli iść w bój. Dusze ich umierały z niepokojem, gdy patrzyli na te głowy ukochane, które może wkrótce legną martwe na okrwawionem polu.

Wicunia klęczała w pobliżu kaplicy, obok Stasia i Plichty, oczy z prośbą żarliwą nieruchomo utkwiała w cichych, słonecznych błękitach i szeptała drżącymi ustami:

— Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad niemi.

Nabożeństwo się skończyło, zaszumiały fale ludzkie, powstał gwar, ozwały się głosy komendy, już nastala chwila ostatnich pożegnań.

Staś chwycił Wicunię w ramiona, gorzały mu oczy wyrazem takiego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie widziała na twarzy brata.

— Bądź zdrowa! opiekuj się ojcem! czekaj na nas, wróćmy! — wołał z zapalem i całował jej czoło blednące, jej drżące usta.

Ona kreśliła mu nad głową znaki krzyża świętego.

— Bóg z tobą... Bóg z tobą...

Spletli się w uścisku ostatnim.

Teraz podszedł do niej Plichta.

— Pobłogosław — rzekł cicho.

Przykląkł i głowę pochylił.

Zmąciła się twarz Wicuni, spazm płaczu uwiązał w gardle. Drżącemi rękami zerwała z szyi srebrny łańcuszek z małym krzyżykiem, który w dzień pierwszej Komunii włożono na jej piersi i zawiesiła go na szyi Plichty.

— Opiekuj się nim Boże... bitwa... w bitwie... Matko Bolesna nie opuszczaj go — szeptała bezładnie.

Padaly mu na czoło jej lzy gorące, ciężkie, klęcząc, wziął jej ręce i tulił do ust swoich.

— Pamiętaj o mnie, nie zapomnij!

— Aż do śmierci...

Padły donośne słowa komendy.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrow!

Przez blaski łez spojrzeli na siebie z od dali. Tłum ludzi już ich rozdzielił.

Przed długim szpalerem tych, którzy żegnali, sformowane pułki konne, piesze przesuwać się poczęły i oddalać zwolna w stronę Okuniewa. Zatańczyła ziemia, pył za ostatnimi szeregami podniósł się chmurą rozwiewną...

W kilkanaście dni po wymarszu wojsk, odebrała Wicunia list od Plichty.

„Zwycięstwo, zwycięstwo, moja ukochana! — pisał narzeczony list radosny. — W bitwie pod *Stoczką* nasza jazda okazała przewagę nad nieprzyjacielem. A wczoraj pod *Dobrem* polska piechota odniosła zwycięstwo, generał Skrzynecki wslawił się tą bitwą. Teraz Chłopicki chce uderzyć na korpus Rosena. Tęskno mi za tobą Wiciu, serce rwie się do ciebie, ale walka zwycięską osładza wszystko. Rozkosz iść do boju pod wodzą Chłopickiego, tego napoleońskiego żołnierza, co zdobył sławę pod Saragossą. Słusznie księżę Adam Czartoryski i Niemcewicz błagali go, aby przyjął dowództwo; on nas poprowadzi do zwycięstwa! Popatrz na niego ukochana: stary, siwy wojownik, twarz surowa, fajka na krótkim cybuszku, w surducie granatowym, długim, furazerka okrągła, granatowa z daszkiem, szpada przy boku, po-

stawa poważna, wzbudzająca poszanowanie i subordynację. W oczach ma zapał i wielką energię; wiadomość, że armaty grają, rozbudza w nim rycerską duszę Polaka. Módlcie się, bo za parę dni zagrają nam te armaty i pójdziemy w bój!“

Ten list, pełen pomyślnych wieści, czytała Wicunia ojcu i Dembkowi już nie w więzieniu, lecz u nich, u siebie w domu, w małym saloniku; po wyjeździe bowiem wielkiego księcia Konstantego z Warszawy, więzienia stanęły otworem. Obadwaj uwolnieni nie chcieli się i teraz rozstawać, zamieszkali razem, a opiekę nad nimi roztoczyła Wicunia. Pani Węgleńskiej nie było już u nich w domu; musiała wracać do siebie na wieś, gdzie wobec rozpoczętej wojny, obecność jej była konieczna.

Pan Zabłocki i Dembek po pięcioletnim więzieniu zmienili się bardzo, były z nich już tylko ruiny dawnych ludzi. Wesoly ongi przyrodnik o twarzy jowialnej, uśmiechniętej, stał się teraz dziwnie zalekniony, milczący, schudł, zczerniał, od rozmowy stronił, a najulubieńszemu jego zajęciem było siedzenie przy oknie i wpatrywanie się w ruch przechodniów na gwałnym rynku Starego Miasta. Ojciec Wicuni, lubo umysłowo przetrwał długie więzienie bez szwanku, jednak na zdrowiu podupadł, kaszlał, pluł krwią i często mówił o zbliżającej się śmierci.

Wicunia żyła teraz jak w gorączce, biulety-

ny z pola walk, listy Stasia i Plichty prznosiły ją tam, do tych pulków, które za cenę własnego życia zdobywały lepszą przyszłość dla swej ziemi. Pomyślne wieści utwierdzały ją w nadziei, budziły wiarę, że przecież ci dwaj umiłowani, za łaską Bożą, szczęśliwie powrócą do domu.

Szczegóły wielkiej bitwy pod *Grochowem* wyczytała z listu Stasia, opisywał on drobiazgowo przebieg tej bohaterskiej walki. Choć list jego opiewał bitwę zwycięzką, był jednak przepony goryczą:

„Tyle krwi przeleliśmy na tych polach, tylu z pośród nas poległo, od czasu wielkich wojen napoleońskich, ta była najkrwawsza, największa. Nieprzyjaciół został zdziesiątkowany, zdeorganizowany, — to zwycięstwo mogłoby być decydująco zaważyć na szali obecnego ruchu, gdyby nie... aż serce się rwie, kiedy trzeba mówić... — gdyby nie opieszałość czy nieposłuszeństwo dwóch generałów: Krukowieckiego i Łubieńskiego! — Złe tkwi w tem, że naczelnym wodzem jest książę Michał Radziwiłł, człowiek zacny, ale nie obeznany z zawodem, wojennym, który odpowiedzialne stanowisko przyjął jedynie przez posłuszeństwo woli narodu, — a dopiero jego doradcą, choć faktycznie rzeczywistym wodzem — jest Chłópicki. To pozorne rozstrzelanie najwyższej władzy sprawiło, że kto chciał, słuchał rozkazów Chło-

pickiego, kto nie chciał, mógł na głos jego nie podążyć, jeśli rozkaz nie był podpisany przez księcia Radziwiłła. — Tak właśnie uczynili Krukowiecki i Łubieński.

Kiedy po straszliwych, śmiertelnych starciach na polach Grochowa, po bohaterskiej obronie w Olszynie, gdzie padł generał Żymirski, nieprzyjacielskie dywizye poczęły się w nieładzie cofać, Chłopicki zażądał, aby nieczynne dotąd oddziały Krukowieckiego i Łubieńskiego rzuciły się za ustępującymi. Lecz tamci dwaj nie przybyli... Nieprzyjaciel miał czas sformować się i przystąpić do ponownego starcia. Nastal wtedy dla nas bój rozpaczny; by nam zwycięztwa nie wydarto, rzucaliśmy się jak szaleni w najgorętszy wir walki, Chłopicki, zdawało się, szuka śmierci, stałem przy nim, kiedy w pobliżu padł granat i zranił go ciężko. Zrobiliśmy nosze z kos i płaszców i ponieśliśmy go ku żelaznej kolumnie, do powozu księcia Radziwiłła. — Gdyśmy go nieśli rzekł: „Wolałbym był zginąć, jak przeżyć, co się tu teraz dzieć będzie.“ \*). Ostatecznie zwycięztwo pozostało po naszej stronie, ale o ileż mogło być świetniejsze i w skutki dla nas obfitsze!“

Tylko niektóre szczegóły tego listu, tylko pomyślne wieści odczytała Wicunia swoim dwom

\*) Prawdziwe.

starcom. Czyż mogła w ich nieszczęśliwe serca, wlewać jeszcze piolunową gorycz zwątpienia w dobrą wolę i patryotyzm niektórych współziomków? W nagrodę za to niewinne zatajenie widziała potem Wicunia promienne twarze tych dwóch wyzwolonych, słyszała ich ciche, radosne pogwary, że naród wart jest lepszej doli, że dojrzał, że niema już w nim dawnej prywaty, rozłamu, tej gangreny toczącej przez lat tyie serca polskie.

Prym w tym hymnie szczęścia trzymał pan Zabłocki, Dembek bowiem coraz wyraźniej zapadał w jakiś mrok umysłowy. Wyraz jego jowialnej dawniej twarzy, niekiedy czynił się tępy, wzrok smutniał, — w takiej chwili potrzasał rozpacznie głową, jakby chciał siłą woli zrzucić z siebie tę chmurę bezwiedzy, co go ogarniała, — uderzał się w czoło i szeptał:

— Zepsuli mi coś we łbie tem badaniem po nocach; siedzę tu, a wydaje mi się, że m na śledztwie. Szelmy, chcieli mnie, widać, ogłupić.

Potem uśmiechał się, paroksyzm mijał, a on zapominał o nim zupełnie aż do ponownego ataku.

Zbliżała się wiosna, szła w tym pamiętnym roku wczesną i kwiecistą stopą, ruń wysypała się na pola, zagęściły się gaje liściem zielonym, ptaki świergotały po zaroślach, grzała się ziemia w cieple słonecznem, i radość zbliżają-



cego się Zmartwychwstania Pańskiego niosła się po całym świecie.

W sam Wielki Tydzień dowiedzieli się mieszkańcy Warszawy o zwycięstwie pod *Wawrem* i pod *Wielkim Dębem*. Teraz dzierżył naczelne dowództwo generał Skrzynecki, Chłopicki bowiem, skutkiem ciężkich ran do boju już stać nie mógł.

Radość w Warszawie po tych zwycięstwach była nieopisana. Tem uroczysćiej, bo w wylewie uczuć entuzjastycznych, obchodzono pierwsze święto Wielkanocy. Do katedralnego kościoła świętego Jana pociągnął pochód wielotysięczny, — za orszakiem senatu, izby poselskiej i rządu narodowego, niesiono zdobyte sztandary, za nimi szły działa zbryzgane krwią kanonierów, — a dalej gęstwa ludzi wszelkich stanów, różnej płci, od dzieci nieletnich, do starych inwalidów z pod Baru i Berdyczowa. Płynął tam naród z dziękczynną modlitwą na ustach, w uniesieniu błagał Boga o pomoc, orędownicze swojej, patronce ludu polskiego Częstochowskiej i Ostrobramskiej w opiekę oddawał mężnych synów swoich, — otwierał przed tą Miłosierną rany krwawiących się serc po poległych synach i ojcach, po tych, którzy już nie wrócą. Kwiat polskiej młodzieży gęstym trupem słał się tam na wojennych polach; matki oplakiwały swoich pierworodnych, rodzeństwo modliło się za dusze braci, kir żałoby po-

krywał wielu: cały naród był jak ten ołtarz ofiarny, na który się składa to, co najdroższe. Litwa Żmujdź, Wołyń i Podole szły za przykładem Królestwa.

Po tym szeregu zwycięstw spodziewał się rychło naród szczęśliwego zakończenia wojny. Choroby, niewygody, kłęski zadawane polskim orężem, zdziesiątkowały wojsko Dybicza, żołnierze jego utracili ducha, zdeorganizowani byli i do dalszych walk zniechęceni.

Książę Adam Czartoryski, prezes rządu narodowego, całą duszą łączył się z powstaniem, nie oszczędzał siebie, podczas bitwy Grochowskiej stał przy boku naczelnego wodza, przebywał niejednokrotnie pośród armii, zachęcał, zagrzewał, na wodzów nalegał o zwycięstwa — „jeszcze jedno zwycięstwo“ błagał, po którym obiecywał narodowi interwencję Europy na korzyść kraju. Wojsko też rwało się do boju, żadne nowych wawrzynów.

Stał jednak wówczas na czele tego wojska człowiek, w którego duszy zgasił był widać zapal bojowy, który nie dorósł do tego zadania, jakie mu powierzono, który mimo niezaprzeczonego patriotyzmu nie umiał wzniesć na szczyty honoru swego narodu; Skrzynecki nie szedł w trop za pokonanym, nie niszczył go doszczętnie, myślał o układach pokojowych, ociągał się, snąć nie zdając sobie sprawy, że każdy dzień, każda godzina mają niesłychaną

cenę. Stąd nieprzyjaciół, choć zwalczany, nie uciekał w rozsypce, jeno zbierał się i organizował ponownie.

Prędko zaczęły się ujawniać skutki błędów, popełnianych przez naczelnego wodza. Armia Dybicza, wzmocniona posiłkami, mająca dość czasu, by się połączyć ze swymi rozproszonymi gwardyami, rozłożyła się obozem w groźnej sile nad rzeką Narwią, niedaleko miasta Ostrołęki.

Było to w końcu maja. Rano wsunęła się Marysia do pokoju Wicuni i podała jej list. Wicunia była już ubrana, miała bowiem za chwilę pójść do kościoła.

— A skąd to list? — spytała zdziwiona. —

— To, panienko, syn Jacentowej, tej straganiarki z naszego rynku, oddał mi go.

— On jest przecież w armii, służy pod naszym paniczem.

— Tak, ale dziś o świtanu przyjechał do Warszawy z generałem Skrzyneckim.

— Jakto?!... generał Skrzynecki tu?!... armia jest podobno w okolicach Łomży!

Marysia zaczęła coś mówić, ale Wicunia już nie słuchała. Drżącymi rękoma poczęła rozwijać zwinięty list, serce jej biło gwałtownie, oddech zamarł w piersiach.

List pisał Plichta.

Wieś Kruki pod Ostrołęką.

Dnia 26 maja 1831 roku.

Moja Wiciu ukochana!

„Przed chwilą przybyliśmy tutaj po noclegu w Ostrołęce, wczesnym rankiem przeszliśmy Narew, i tu do wsi powędrowała główna nasza kwatera. Generał Skrzynecki ma dla siebie niewielki dworek, opodal umieścił się nasz genialny strategik, generał Prądzyński, a my, niższa brać wojskowa, polokowaliśmy się, gdzie się dało. Staś i ja z paru oficerami zamieszkaliśmy pustą stodołę i tu właśnie, korzystając z wolnej chwili, piszę do ciebie, moje ty szczęście jedyne. Radbym ci, Wicuniu, rzucić pod nogi wawrzyny nowych zwycięstw, radbym dzielić się z moją ukochaną wieścią radosną, zbliżającem się, a zdobywanem choćby za cenę krwi, zbawieniem ojczyzny. Niestety, dziś dobrych nowin udzielić ci nie mogę. Coś się psuje w naszej armii, obniżył się jej lot. Wprawdzie wśród szeregowców, wogóle w dolnych sferach wojska trwa wciąż jednaki zapal, poświęcenie, pragnienie walk; ale z góry od zwierzchników nie idzie ku nam żaden bodziec, oni tam, na wysokich szczytach swych wojskowych stanowisk, jakby utracili zaufanie do sprawy, jakby ich ogarnęła bojaźliwość czy wątpliwość... Tylko nasz książę Adam Czartoryski, tylko ten dyplomata o gorącym, wielkiem sercu,

dopomina się o bitwy, zagrzewa do boju, błaga często nadaremnie. On z tych trosk aż posiwiał w ciągu paru miesięcy. I generał Prądyński nie ochłodził, zawsze natchniony, gdy planuje swoje bitwy. Tylko naczelny wódz, tylko Skrzynecki nie stoi na wysokości zadania! Wprawdzie i Chłopicki błdził, nie przystępując zaraz do działań wojennych, ale za to, gdy się znalazł na polu bitwy, wpadał w zapal, był znakomitym wykonawcą swych planów, ułożonych przed bitwą, pamiętał o wszystkim, o każdym pułku wiedział, gdzie jest w danej chwili, jak na szachownicy posuwał podkomendnymi, wiedząc i widząc wszystko. Inaczej Skrzynecki: nie wie gdzie i jakie ma wojsko, w ogniu bitwy unosi się niecierpliwością, traci zimną krew, działa pod wrażeniem chwili, bezładnie i bez planu.

Jakże nieszczęśliwy jest nasz naród! Za Kościuszkowskiej insurekcji mieliśmy wielkich wodzów: był Kościuszko, był bohaterski książę Józef, Madaliński i tylu, tylu innych, którzy mogli prowadzić do zwycięstwa;—jeno wojska dobrego wtedy nie było! Dziś jest wojsko regularne, karne, pełne ofiarności i męstwa, ale wodzów mu brak!

Daruj te smutne słowa, ale gorycz już nam zalewa serca. Czy wiesz? była chwila, że, blagając o przyjęcie bitwy w nadarzających się bardzo pomyślnych dla nas warunkach, Prą-

dzyński rzucił się Skrzyneckiemu do nóg! \*) Jednak wódz naczelny nie poprowadził nas... A dziś co? dziś stoimy tu, a w pobliżu rozłożył się w wielkiej, zbrojnej sile feldmarszałek Dybicz..."

W tem miejscu była przerwa w liście, a poniżej szybkim, gorączkowem skreślone piśmem następujące słowa:

„Przed chwilą wpadł, jak szalony do obozu generał Lubieński, — jego korpus pozostający dotąd w Ostrołęce, jest atakowany przeważnemi siłami nieprzyjacielskimi, morderczy ogień już ich tam wypiera z miasta, muszą rejtrować na prawy brzeg Narwi. Położenie nasze jest tutaj tak niekorzystne, że nie należałoby przyjmować bitwy, jednak generał Skrzynecki zmuszony jest wydać rozkazy; idziemy za chwilę do ataku, da Bóg pomyślnego..."

I znów przerwa, a dalej kilkanaście wierszy.

„Godzina 3 po południu.

Konia pode mną zabito, wpadłem tu po drugiego, już mi go kulbaczą. Wiciu, co za straszna bitwa! Ostrołęka w płomieniach, wody Narwi, po śmiertelnem zmaganiu się na moście zcierwieniły się od krwi, siedemdziesiąt armat rosyjskich zionie na nas ogniem piekielnym, dym i huk dział grzmi na całej linii zniszczenie, każda celnie wypuszczona kula wrywa nam

\*) Historyczne.

po kilku ludzi. Ale i my szerzymy spustoszenie w armii nieprzyjacielskiej. Skrzynecki, jakby chciał wynagrodzić dawne błędy, prowadzi osobiście bataljony do ataku, kilka razy rzucił się tak niebacznie w sam środek nieprzyjaciół, że pałasze adjutantów musiały go zasłaniać przed bagnietami.\*) Generał Bem na czele swej artylerji praży morderczymi kartaczami kolumny rosyjskie. Panuje tu teraz pod tą krwawą Ostrołęką poprostu rozpaczny bój, bo my za wszelką cenę powinniśmy zwyciężyć; przegrana zgubiłaby nas, zniweczyła wszystkie poprzednie tryumfy.

Bądź zdrowa, już koń podany..."

Tu urywa się list Plichty. Dalej Staś Zabłocki dopisał te słowa;

"Przegraliśmy. Plichta zabity, wolejbych był padł obok niego."

---

\*) Autentyczne. Pamiętniki generała Ignacego Kruczewskiego.

## VII.

Po klęsce Ostrołęckiej, po złożeniu z naczelnego dowództwa generała Skrzyneckiego, jeszcze parokrotnie zmagaly się ze sobą dwie armie. Pojedyncze oddziały naszego wojska usiłowały powetować przegraną; ale już zapal poczynął błędną, już jakieś zwątpienie nurtoowało dusze bojowników.

Ku Warszawie, na czele nowych sił rosyjskich, podążał książę Paszkiewicz, któremu powierzono dowództwo po zmarłym pod Pułtuskim feldmarszałku Dybiczu.

Jedynie o obronie stolicy myślano teraz w szeregach.

Tak zeszły miesiące letnie. W początkach września zagrożona już była Warszawa, a dnia 8 września podpisali generałowie nasi kapitulacyę miasta.

Ruch zbrojny został zduszony, zaczęły się prześladowania. Namiestnikiem Królestwa zamianowano ks. Paszkiewicza, cesarz Mikołaj zniósł



konstytucję Królestwa, wojsko polskie, — zamknięto uniwersytety warszawski i wileński, liceum Krzemienieckie i Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zbiory tych instytucji przewieziono do Petersburga. Ci, którzy brali czynny udział w powstaniu, a nie zdołali wyemigrować za granicę byli więzieni i tłumnie wywożeni na Sybir. Jesień 1831 roku powlokła jakoby kirem nasz kraj: nie było rodziny, któraby nie oplakiwała poległych, któraby nie żegnała zesłańców.

Był dzień chłodny, listopadowy, ranek rozsnął już sine światło na białych, popruszonych śniegiem ulicach Warszawy, szare obłoki kłębiły się na niebie, i żaden promień jaśniejszy nie mógł przebić się ku ziemi.

W jadalnym pokoju u Zabłockich, pod oknem stała niewielka, drewniana walizka, do której składano co najniezbędniejsze rzeczy Stasia. Nazajutrz miał być wywieziony z Warszawy; dekret cesarski skazywał go na zesłanie do sybirskich kopalń.

Siedział teraz przy stole, zapatrzony martwo przed siebie, a opodal przesuwala się bez szelustu, rzeczy zesłańca w walizce składając, w czerń przybrana, cicha i milcząca Wicunia Zabłocka.

Ostatnie miesiące, które przyniosły ze sobą tyle nieszczęść, zmieniły jej postać; ból wielki co wsączył się w jej duszę, w serce, w spojrzenie czarnych oczu, powlókł bladeścią lica

i pieczęcią milczenia przywarł do jej ust. Niby „liść mimozy zwinęła się w sobie“, w dno serca złożyła wspomnienia niepowrotnej przeszłości; na krzyżu rozpiętą duszę swoją skryła przed wzrokiem ludzkim. Co tam, w głębinach jej myśli się działo, nie ujawniała nikomu; snąć powiedziała sobie, że jej własne, osobiste życie zabite jest tą samą kulą, która przeszyla piersi poległego ukochanego. Dla samej siebie już od-tąd żadnych pragnień nie miała; poczęli dla niej istnieć tylko ci, którzy cierpieli.

Teraz niepodzielnie, wszystkimi myślami krążyła wokół tej jasnej, do niedawna jeszcze zuchwalej głowy braterskiej, z której jutro zdarte będą złote pukle włosów i którego ręce kajdany obejmą. Kapitanowi Niewodowskiemu zawdzięczali ten dzień jedyny, spędzony razem. Dawny dozorca Karmelickiego więzienia nie brał czynnego udziału w zbrojnych ruchach.

— Przyda się może później na co moja wilcza skóra — mawiał do zaufanych — to, co miałem, dobro moje materyalne, oddałem powstańcom, osobę swoją zachowam nieskazitelną w przekonaniu mych dawnych zwierzchników. Nie wiadomo, jak się to wszystko skończy; może jeszcze trafiać się będą tutaj, nie daj Boże, tacy nieszczęśliwi, nad którymi trzeba będzie rozciągnąć opiekę ojcowską.

Do tych właśnie należał w tej chwili i Staś Zabłocki. Dozorca wypuścił go z więzienia na

słowo honoru, pozwolił mu zobaczyć się i pożegnać z rodziną.

— Już, Stasiu, wszystko gotowe i te papiery potrzebne włożyłam ci do walizki, zdaje się, niczego już, nie brak... — powiedziała Wicunia, zbliżywszy się do brata.

Podniósł na nią spojrzenie posępne, mroczne, oczy ich obojga wpatrzyły się w siebie.

— Straszno mi — rzekł z cicha Staś.

Siadła tuż obok; strwożone nagłym bólem zmaczone oczy utkwili w twarzy brata, pytając go bez słów.

On zaś mówił dalej półgłosem, ze wzrokiem, który, patrząc, nie widzi nic prócz własnych myśli.

— Dotąd nie wiedziałem, co to trwoga. Tam, na pobojuwiskach ani śmierci, ani ran się nie bałem. A teraz... teraz całam ciałem, duszą całą, każdą myślą moją boję się tego życia, co mnie czeka. Boję się tych martwych śniegów sybirskich, tych ciemności w czeluściach kopalń, boję się wygnania... Ale nie dlatego, że się tam cierpi — potrząsnął głową odważnie — co tam cierpienie! Ja moim siłom rozkazywać umiem, one są mi posłuszne, zniosą wszystko. Lecz boję się, tej śmierci moralnej, która tam czyha na każdego, tego bezruchu, bezcelu — tego życia pozbawionego użytecznych owoców, trudu, który się niczem dobrem nie opłaci... We mnie jest jeszcze namiętna żądza czynu, pracy... tam

trzeba tylko wyczekiwać śmierci, a ja mam dopiero dwadzieścia cztery lat...

Wicunia milczała. I cóż mu na to wszystko odpowie? czem go pocieszy? Gdyby mogła, lotem ptaka podążyłaby tam w jego miejsce. On tu byłby potrzebniejszy, mogłby więcej zdziałać niż ona, a ją tam ratowałaby myśl, że jej ból jest użyteczny, bo odkupuje wolność brata.

We drzwiach jadalni stanął Dembek. Popatrzył chwilę na rodzeństwo szklanym, błędnym wzrokiem, potem nagle brwi zmarszczył, rozejrzał się bystro dokoła i szybko podszedł do Stasia. Nachylił się ku niemu i szeptem począł mu do ucha mówić:

— Za chwilę przyjdzie tu więzienny dozorca; jeśli doda ci do wieczery pół butelki wina i powie, że to za twoje dobre sprawowanie, to ty tego wina nie pij... Nie dlatego, żeby złe było, broń Boże! Dobre, mocne, zupełnie porządne wino przynosi... Ale ty go nie pij, bo potem zaśniesz prędko, twardo w odurzeniu, a oni zaraz po północy przyjdą tu, poprowadzą cię do wielkiej, oświetlonej sali i zaczną badać... Skądże ty, napół pijany, będziesz mógł zebrać w jednej chwili całą przytomność umysłu? A oni ciebie tak uwikłają pytaniami, że możesz powiedzieć i to, czego nie chcesz. Najlepiej mów zawsze: nic nie wiem.

Chcąc przerwać te przykre słowa, które

pewnie na Stasiu bolesne czynić musiały wrażenie, Wicunia wstała i, wzięwszy pod rękę Dembką, rzekła łagodnie:

— Ja pana poprowadzę do saloniku, dziś duży ruch na rynku, Marysia postawi panu na oknie kawę, a pan będzie się przyglądał przechodniom, — dobrze?

— A dobrze, dobrze — odpowiedział.

Twarz mu się uspokoiła, i już cichy i milczący wyszedł z Wicunią z jadalni.

Ona powróciła wkrótce sama.

— Chodźmy, Stasiu, do ojca — rzekła.

Pan Zabłocki już od dłuższego czasu nie opuszczał łóżka, częste krwotoki wyczerpywały go coraz bardziej, gaśl widocznie.

Gdy dzieci weszły do jego pokoju, uniósł się na poduszkach i twarz rozjaśnił uśmiechem.

— No, już moja Wicia sporządziła pewnie wszystko dla Stasia — rzekł spokojnie, i dodał: — Teraz pogawędzić będziemy mogli ze sobą. O której godzinie powinienes odejść?

— Kapitan Niewodowski kazał powrócić o piątej.

— Chwała Bogu, mamy dość czasu.

Oboje siedli w pobliżu.

Przez chwilę pan Zabłocki badawczym okiem śledził twarz syna. Błada była, o czole zbruzdżonem, o brwiach sfałdowanych bolesnemi zmarszczkami.

Ojciec nie spuszczał z niego oczu, z wolna zapytał:

— A czemu to nie widzę spokoju na twarzy mego syna?

Jak ptaki spłoszone zerwały się żrenice młodzieńca, nieruchomo dotąd w ziemi utkwione, zatrzepotały się i w niemem pytaniu zawisły na ojcowskich ustach.

A pan Zabłocki rzekł:

— Widzisz, synu, ja patrzę teraz na życie wzrokiem tych, którzy odchodzą. Nadzieje nas zawiodły, prawda, — zwłaszcza wy, młodzi, spodziewaliście się, że męstwem waszem zdobędziecie ojczyźnie wolność, że bodaj przywróciacie jej dawną świetność. Prawda, tak, walczyliście jak lwy, nieustraszeni zawsze i gotowi poedz dla swej sprawy. Losy zrządziły inaczej... Przyczyny tego gorzkiego zawodu są różne i liczne. Powstanie wywołano, ale ściśle nie określono jego celu, wojsko pozbawione było dobrych wodzów, to też i bohaterstwo wasze nie miało pomyślnych skutków, choć zbudziło podziw Europy. — Ruch powstańczy sprowadzi na kraj wielkie klęski, ale i wielkie dobro: tym, którzy nami rządzą, da sposobność do wymierzania surowych kar, ale że wstrząsnął on ożywczo krajem, zbudził ofiarność i patryotyzm, więc dowiódł światu, że my żyjemy zawsze i że stopa żelazna, która nas ciśnie do ziemi, nie złamie nam karków, że dobrowolnie rąk nie



kładziemy w okowy. Jest w naszym narodzie krew żywa i duch nieśmiertelny, który ani zapomniał, ani wyrzekł się swojej przeszłości i przyszłości. — Teraz nasz naród rozpadnie się, jakoby na trzy wielkie odłamy: jedni rozsypią się po Europie — to emigracya, drudzy pozostaną w kraju pod uciskiem i moralną presją, trzecia grupa — to zesłańcy. Emigracya, owo wychodźstwo polityczne, nietylko nie przynosi dobra, lecz bywa najczęściej klęską dla każdego kraju, zmniejszając w nim liczbę obywateli, a w następstwie ubożąc jego zasoby umysłowe i materyalne. Długa nieobecność w kraju, życie się mimowolne z narodem obcym sprawiają, że emigranci zwolna tracą znajomość stosunków miejscowych, nie patrzą na swą oddaloną ziemię praktycznie, przedmiotowo, ale pod kątem własnych urojeń, bądź własnych gorących pragnień. — Kamień węgielny narodu pozostanie tu, na tej nieszczęśliwej ziemi i będzie wygajał jej rany, będzie odbudowywał to, co wojna zniszczyła, — będzie się zwolna dźwigał i prostował ramiona. Wielka praca czeka tych, co pozostaną. Ku nim, jak ku żywemu ciału zwrócone będą oczy wszystkich. — Nie dano ci, synu, stanąć w tych szeregach; jednak i ciebie czeka praca użyteczna, praca dla swoich ziomków...

Ożywiły się źrenice Stasia i wpatrzyły natężone w twarz ojca.

A on ciągnął dalej zwolna i dobitnie:

— Tak... dla ziomków... praca użyteczna. Tobie się dzisiaj zdaje, że ty będziesz tylko zesłańcem, katorżnikiem, że będziesz jako ta gałąź od rodzinnego pnia oderwana i ciśnięta. Mylisz się. Jeśli ty tam pójdziesz, w głębi własnego przekonania, jako męczennik i tam patrzeć zechcesz tylko na ociekające krwią twe ręce, to złym będziesz synem ojczyzny. I tam na śniegach syberyjskich żyje twój naród; tam są liczni a różni wygnańcy: są młodzi jeszcze, starsi i ci starzy z lat Kościuszkowskich, którym oczy pogasły w mrokach kopalni, którym blisko czterdziestoletnie wygnanie zatarało oblicze matki ziemi. Z pod tych śniegów zamarzłych, od tundr syberyjskich nie mogą im już myśli chyżym biegiem wrócić do kraju, już nie wiedzą, gdzie go szukać, w której stronie już im się zdaje snem ta ziemia polska. Już język ich nie umie czystem brzmieniem wypowiedzieć własnych imion, już im nostalgia przeszła dusze, zwałiła je, żyją jedynie tęsknotą i goryczą łez. — Synu, ty ku nim podążysz młody, silny, więc powinienes być dla nich jak tchnienie ożywcze, jak promień słonecznego światła. Będziesz im upostaciowaniem tej ziemi, za którą płaczą, będziesz im niósł dobrą nowinę o narodzie i o jego pracy. Niech oni zmarszczek bolesnych na twojem czole nie widzą, świeć im uśmiechem, bądź dla nich ra-



dością, uweseleniem, szczęściem. W pełni sił tam dążysz, jeszcze nie znasz tęsknoty, jeszcze przed powiekami żywie ci jasna i wyraźna ziemia twoja; ożyw ją w ich sercach gasnących,— to twój obowiązek i praca, która cię czeka...

Umilkł, a do zwislej na poręczy łóżka ręki jego, przycisnęły się gorące synowskie usta i młodzieńcze żywe oczy, radosnie złączyły się ze spojrzeniem ojca...

## VIII.

W kilka miesięcy po wywiezieniu Stasia umarł pan Zabłocki; Wicunia pozostała najzupełniejszą sierotą. — Czas tylko krótki rozciągała opiekę nad obłąkanym Dembkiem, bowiem wzrastający szybko jego rozstrój nakazał ostatecznie umieścić chorego w odpowiednim zakładzie.

Wtedy Zabłocka zwinęła dom w Warszawie i udała się wraz ze swą wierną Marysią na wieś, do pani Węgłeńskiej. Przed wyjazdem była u księdza Falkowskiego z pożegnaniem. Stary rektor powitał ją otwartymi rękami.

— Moja słodka dziewczeczka! — zawołał, tuląc jej głowę do piersi. — A zawsze dzielna, a zawsze spokojna i mężna... Cóż, słusznie, że dla wzmocnienia sił w zaciszu wiejskiem przebędziesz czas jakiś; pani Węgłęńska osamotniona, więc miłosierny uczynek spełnisz zarazem. — Oj, pusto mi tu będzie bez ciebie! A co lepsze rozjeżdża się, sama szarzyzna pozostaje w Warszawie...

Rozmawiali jeszcze, gdy niespodziewanie weszła do pokoju kobieta młoda, o twarzy spokojnej, prawie surowej. Ładną nie była, ale pociągaly w jej twarzy oczy pełne ognia i wyrazu, oczy, w których ześrodkowywał się, jakby przez nie promieniał szlachetny i silny charakter jej duszy.

To była owdowiała przed paroma laty Kazimiera Ziemięcka.<sup>1)</sup>

— A, pani Kazia! — zawołał na jej widok ksiądz Falkowski, a potem, zaznajamiając ją z Wincentą, rzekł: — To, uważasz, moja parafianka, ale kobieta żyjąca zgola bez żadnego ładu.

Uśmiech łagodny ożywił smętne rysy Ziemięckiej.

— A czemu ksiądz rektor rozgrzesza mnie za moje bezładne życie?

— Jabym cię gotów i beatyfikować — odpowiedział i zwrócił się do Wicuni. — Bo to, widzisz, moje dziecko, pani Kazia młodo zamąż poszła za rolnika, osiedliła się na wsi i tam nie dla formy, nie dla rozgłosu, broń Boże, lecz z uczuć serca poświęciła się szczęściu wieśniaków. Zakładała ochrony, szkółki, sama uczyła dzieci chłopskie ku wielkiemu zgorszeniu okolicy. Ona była w swej wsi lelkarką, dobrodziejką, rzeczywistą matką. Przytem

<sup>1)</sup> Jedna z wybitnych Entuzyastek.

walczyć musiała z nalogiem chłopów — pijaństwem. Uszczerbek czyniąc we własnych dochodach, państwo Ziemięccy pokasowali karczmy. A pieniądze skrzętnem i pracowitem gospodarstwem zbierane, szły na książki, na wznoszenie budynków, przeznaczonych na ochrony, na szpitaliki wiejskie i t. p. — Kiedy po śmierci męża pani Kazimiera pozostała sama, rozchód często nie mógł zrównoważyć się z przychodem, trzeba więc było gospodarstwa się wyrzec i przenieść do Warszawy. Ale ona i tu nie wyzbyła się podobnych twoim upodobań; — czy wiesz? z całej Warszawy zbiera u siebie w święta i niedziele kucharki, przeróżne służące i uczy je i oświeca.<sup>1)</sup>

— A cóż jabym, proboszczu, innego robiła? Dzień długi, czasu dość, a jam sama na świecie.

— Ażeby ci uzupełnić duchowy portret pani Kazimiery, jeszcze to powiem, że niema dla niej ludzi obojętnych: dobrych kocha do entuzjazmu, złych nienawidzi, na ludzką mierność tylko nie ma żadnego uczucia.

Wicunia słuchała, a oczy jej często spotykały się ze wzrokiem młodej kobiety, i wtedy jakby nić wzajemnej sympatii przenikała ich spojrzenia.

I popłynęła rozmowa wspólna, ożywiona,

<sup>1)</sup> Autentyczne.

o tem, co się w kraju dzieje, o celach i dążeniach ludzi światłych, o tem życiu, które tak szybko biegnie, że nieraz i szereg lat przeleci, a mało z nich pozostaje owoców. Otworzy się dusze obu młodych kobiet i przystały do siebie...

Wkrótce potem, gdy wychodziły razem z mieszkania starego rektora, zdawało im się, że się już od lat wielu znają...

Ziemięcka prosiła Wicunię, aby, ilekroć zawita do Warszawy, pod jej dachem zamieszkać chciała. Wicunia wypowiadała się przed nią z tych ciężkich brzemion, jakie Bóg na nią zsyłał w ostatnich latach. Przrzekły sobie, że listownie porozumiewać się będą i ucieszone wzajemnie z zawartej znajomości, pożegnały się serdecznie.

Jakoż bawiąc u pani Węgleńskiej na wsi, Wincenta Zabłocka często odczytywała listy swej nowej przyjaciółki, która nie skąpiła jej wiadomości ciekawych z Warszawy. Szczególniej pierwsze listy Ziemięckiej, jeszcze z roku 1832-go, tchnęły ożywieniem i dobrą nadzieją. Zwłaszcza radowała się młoda kobieta z szybującą coraz wyżej polskiej twórczości poetyckiej. Donosiła Wincencie w gorących słowach o młodym, nowym poecie, Juliuszu Słowackim, który czas jakiś urzędował w Warszawie, kiedy ministrem był książę Lubecki. Tu, jak donosiła Ziemięcka, wypadki listopadowe, których St-o

wacki był świadkiem, wstrząsające na młodym poecie wywarły wrażenie i poruszyły w jego duszy struny, które zadźwięczały natchnionemi strofami.

Do listu dołączyła pani Kazimiera kilka wierszy Słowackiego, kursujących wówczas po Warszawie, bądź w drukowanych broszurkach, bądź też w odpisach.

Więc poznała Wicunia *Odę do wolności*, patriotyczny *Hymn do Bogarodzicy*, *Kulig i Pieśń legionu litewskiego*, które to utwory obudziły jej gorący zachwyty.

— Przynajmniej ci dwaj — myślała uradowana — Mickiewicz i Słowacki niosą teraz na wyżyny imię polskie.

Żywa, nieustająca korespondencya coraz bardziej zbliżała do siebie obie kobiety o pokrewnych duszach. — W roku następnym dzieliły się entuzyastycznym uniesieniem, jakie obudziła w nich obu wydrukowana wtedy trzecia część *Dziadów* Mickiewicza. Z zapartym oddechem czytała Zabłocka sceny, malujące krwią żywą cierpienia szlachetnej młodzieży wileńskiej. Zdał jej się teraz ten wielki poeta Dantem polskim, miłowała go całą mocą gorącego serca, czciła jako narodowego wieszczą, wierzyła, że z tego serca, co kochało „za miliony“, popłynie źródło ożywcze na jej nieszczęśliwy naród, że go pokrzepi, uszlachetni i oczyści.

Na wsi Wincenta spędzała czas pracowicie i czynnie: uczyła dzieci wiejskie, starała się oświecać ich dusze, budzić miłość ziemi rodzinnej, poczucie przynależności do swego kraju; rozstaczała opiekę nad chorymi, wyręczała panią Węgłęńską w gospodarstwie, zawsze spokojna, z czołem pogodnym, z uśmiechem dobrotliwym na ustach. Dochodziła bowiem do przekonania, że doświadczenia losu, że cierpienia życiowe ułatwiają tylko człowiekowi wzniesienie się na wyższy szczybel Jakóbowej drabiny, co od ziemi do nieba sięga. Czuła coraz wyraźniej, że jedynem, trwałem, nie łamiącym się w życiu szczęściem jest bogactwo duszy, jakie płynie ze spełnionego obowiązku, z wiary w swą siłę moralną, z tej Bożej ścieżki, po której się stąpa.

I ona, osierocona, ona, okryta kirem żałoby, nie wiedziała jednak, co to pustka w życiu; pogodną miała duszę i wyraźny cel przed sobą: żyć użytecznie i doskonalić się; miłować Boga i kraj; żyć tak, by się do tego Boga sercem i umysłem zbliżyć, a krajowi swemu służyć wszystkimi siłami. To też często, idąc na spoczynek, kończyła Wincenta modlitwę temi słowy:

„Dziękuję Ci, o Panie, że nie dałeś mi szczęścia wedle świata, lecz dałeś spokój dla ducha i serca...”

Tęskniła wprawdzie za swymi zmarłymi i od-

dalonymi, ale obcowała z nimi nieprzerwanie duchem; sprawa, która sterała życie jej ojca, która zabiła ukochanego, która wygnała z kraju brata, była jej takim samem, jak ich ukochaniem; wierzyła w jej trwałość, w jej nieśmiertelność: bo posiew krwi, ofiary i cierpień zawsze wydaje plony obfite; bo oni, co odeszli, żarem swego ducha przeniknęli przecież wiele serc; bohaterstwo i miłość jednych to ogniska, przy których nawet bezwolnie rozgrzewają się obojętni. Szeroka, wolna była ta kraina, w której myślą spotykała się ze swymi ukochanymi; w przeświadczeniu swoim rozstała się z nimi tylko ciałem i na krótko, — wierzyła, że się spotkają tam, gdzie już ni cierpień, ni rozstania niema.

Myślami temi dzieliła się z Ziemięcką. Jednak ostatnie listy Kazimiery, jakby utraciły blask dawny, często sączyły się z nich krople gorzycy i brzmiał żal do ziomków.

Pewnego dnia, gdy o późnym zmierzchu Wicunia siedziała na ganku, oddano jej list. Spojrzała na kopertę: znajome pismo.

— Cóż też pisze Kazia? — przesunęła jej przez głowę myśl.

Drżącemi rękami rozwinęła list i pogрузzyła się w czytaniu.

W słowach, tchnących oburzeniem dzieliła się mieszkanka Warszawy, ze swą oddaloną przyjaciółką, wrażeniami z życia stolicy.



„Wyludniła się Warszawa po roku 31-y: ludzi gorętszych, lepszych, ofiarniejszych burza wymiotła z kraju, jedni żyją na emigracyi, inni na wygnaniu; ubyło krajowi inteligencyi najświetniejszej, ludzi najlepszych. Brak mężczyzn pełnych zapału był niemal ważną rzeczą pod względem obyczajowo-społecznym.

„A ci, co pozostali—pisała dalej Ziemięcka — choć leży przed nimi rozległe pole pracy, ugor zaniebany, choć ziemia nasza woła o nowy posiew, — wołą grać w karty, tracić zdrowie, zdolności, a ze sztuk pięknych do choreografii <sup>1)</sup> chyba najżywszy objawiają pociąg. Jednak na pociechę mogę ci donieść, że za to kobiet, pragnących żyć szerzej, głębiej,—dążących do światła i dobra, gotowych na wszystkie trudy i poświęcenia, kochających ideał kroczącej ku udoskonaleniu ludzkości, coraz więcej, coraz więcej. — Wracaj do Warszawy, Wicuniu, zapoznam cię z przyjaciółką moją, Anną z Sokolowskich Skimborowiczową, to żona młodego literata, a dusza taka świetlana, spokojna, silna, surowa dla siebie, wyrozumiała na niedoskonałości bliźnich, żywem sercem czująca niedolę drugich, nigdy w poprzek prawom Chrystusowym nie stająca, — że ci ona z lichwą wynagrodzi dzisiejszych mężczyzn niepoohamowany

---

<sup>1)</sup> Choreografia — wskazówki do nauki tańca.

egoizm, chłodne wyrachowanie, serca zepsute i zmateryalizowane, ich charakter niedoleżny.“

Pokusa dla Zabłockiej była silna, tęskniła ona, nle objawiając nawet tego, za żywszem tętnem miejskiego życia; rada była zajrzeć do dawnych ochronek, zobaczyć, co też polski samarytanin, Jachowicz, dla bezdomnych nowego uczynił; księdza Falkowskiego pragnęła odwiedzić, — i rwała jej się dusza do tych gorących a entuzjastycznych serc młodych polek, o których jej Ziemięcka donosiła.

Warunki na wsi złożyły się pomyślnie: właśnie przybyła do pani Węgleńskiej córka jej owdowiała z zamiarem zamieszkania przy matce; obecność Wincenty, rzecz prosta, nie była teraz konieczna przy staruszce; — więc dnia jednego pożegnawszy serdecznie panią Węgleńską, pobłogosławiona przez nią, podążyła Zabłocka do Warszawy.

Pewnego dnia opuściła więc zacisze wiejskie. Stało się to o jesiennym poranku. Słońce słało uboższe promienie na złote ścierniska, rozciągające się od drogi hen, daleko pod las i roziskrzyły się w jego świetle smutne trawy łączne, ubrylantowane srebrzystą rosą... Gaje odziane barwnym liściem, otuliły się dołem w zwoje białej mgły. Cicho było w powietrzu, tylko zimny nieco wietrzyk przelatał raz po raz, trącając wysokie burzany i osty, bramujące brzeg prostej jak struna szosy.

Koniki biegły truchtem, chłop siedzący na przodzie, raz po raz cmokał i pokrzykiwał:

— Wio, Mucha! wio, Siwek!..

Wózek toczył się szybko, koła jego bezustannie dudniły w monotonnym rytmie...

Jakaś poważna cisza szła od pól i usypiającego na zimę boru, jakiś cichy smutek wkradał się w serce naszej podróży.

— Jesień! rychło i na mych oczach osiadzie mgła starości. Smutne będą wspomnienia moje — myślała.

Mimowoli łza jedna i druga spłynęła po obliczu Zabłockiej. Ale wnet podniosła głowę.

— Jakto? — oponowała ogarniającemu ją rozczuleniu. — Mam się rozczulać nad sobą, podczas gdy tyle jest biedy na świecie. Czemże jest mgła starości wobec ciemnej nocy nieuctwa, na jakie skazane są setki ludzi z niższych warstw społecznych?

Uspokoiła się i zaczęła snuć projekty. Nigdy się tak lotnie i łatwo nie myśli, jak podczas podobnej jazdy końmi, gdy cisza ogarnia całą naturę, a przed oczyma przesuwają się coraz piękniejsze pola, usłane kobiercami różnobarwnych jarzyn, gaje strojne w purpurę i złoto — bajeczne klejnoty barw świecące dokoła, fioletowe ugory kładące się ciemną plamą na barwne kilimy wzorzystych pól...

I nie zdziwiłyby się oczy ludzkie, gdyby ujrzały kroczącego po złotem ściernisku świę-

tego Wawrzeńca w szatach dyakońskich ze złotogłowiu, niosącego wieniec dożynkowy, z wrzosów i ziół wonnych uwity, — kroczącego w rozbłyskach światła, promieniejącego w blaskach słońca, przezroczą mgłą i złotą przędzą babiego lata osnutego.

O zmierzchu, gdy konie, wypoczęte już w karczmie przydrożnej, szybko biegły naprzód ku szczeremu zadowoleniu starego woźnicy, Zabłocka, otulona w ciepłe futerko, w które zaopatrzyła ją pani Węgłęńska, oddała się marzeniom. Wywoływała sobie przed oczy nieznane a przeczuwane duchem postacie Skimborowiczów, zarysowywała się w wieczornej pomroce uśmiechnięta, promienna radością twarz starego Jachowicza, widziała tuż przed sobą poważne, głębokie oczy księdza Falkowskiego, a poza temi ukochanemi postaciami garstkę innych, niemniej drogich sercu... Wzruszenie ogarnęło ją na myśl o pracy wspólnej, ręka w rękę, dla dobra w prochu i żałobie pograżonej ojczyzny...

Podróż trwała długo. Czwartego dnia, już po zachodzie słońca ujrzała na widnokręgu wieżycę Warszawy. Serce zabiło jej żywiej na wspomnienie dni, przeżytych w tem mieście. Przez resztę drogi, dzielącej ją od Warszawy, wybiegała naprzód myślą i duchem była już wśród ukochanych murów, podczas gdy ciałem

trzęsła się na wózku, podskakującym na licznych pod miastem wybojach.

Wkrótce mogła rozradowanemi oczami obejmować długo niewidziane ulice Warszawy i przysłuchiwać się twarzom wiecznie śpieszących gdzieś mieszkańców miasta. Ogłuszona na razie turkotem i hałasem miejskim, od którego odzwyczaiła się nieco, po chwili z przyjemnością wchłaniała w uszy wrzawę, dającą świadectwo, że warszawiacy nie gnuśnią w ciszy i bezczynności. Szła żwawym krokiem, kierując się ku mieszkaniu Ziemięckiej, ciesząc na myśl o przywitaniu ukochanej przyjaciółki.

Jakoż nie zawiodły ją obietnice Kazimiery. Wprowadzona do domu Skimborowiczów, znalazła się Wincenta otoczona sercami i umysłami pokrewnemi, — ludźmi, którzy jednakie z nią mieli przekonania, dążenia, jednaką czuli goręć na widok marniejących sił młodzieży puste, hulaszce, zda się chorej czy ośleplej.

Teraz zamierzała Zabłocka osiedlić się na stałe w Warszawie i rozpiąć szeroko skrzydła swej bujnej duszy, zrealizować miłość dla kraju, pracować dla maluczkich, rozjaśnić choć w szczyplym zakresie horyzont nad swoją ziemią rodzinną.

Pod koniec roku 1840-go, szukając zewnętrznego spokoju, odetchnienia, niezależności, postanowiła Zabłocka dokonać jakieś zmiany w swem życiu. Stara służąca, Marysia, spostrzegła, że jej pani, którą знаła od dziecka, za-

mierza coś bardzo ważnego i nieraz, wykonując jakąś pracę ręczną w kuchni, długo łamała sobie głowę nad rozwiązaniem tego zagadnienia. Z wyrazów, zasłyszanych przelotnie z rozmowy swej pani z przyjaciółkami, oraz z opowiadań służącej pani Ziemięckiej, dowiedziała się, że jej ukochana pani zamierza wstąpić do klasztoru. W pierwszej chwili rozpacz Marysi nie miała granic. Przybiegła zadyszana do domu i chciała, rzuciwszy się swej pani do nóg, błagać ją, ażeby nie zostawiała jej samej wśród obcych ludzi. Ale w domu nikogo nie było, więc odetchnąwszy, Marysia poczęła krzotać się w kuchni i w miarę postępowania pracy obawy jej zaczęły się uspakajać, wreszcie ucichły zupełnie. Nawet rozweseliła się prawie, przekonawszy się, że naleśniki udały jej się jak rzadko.

Mruczała sobie pod nosem jakąś nabożną piosenkę, przeplataną zwrotką:

Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja,  
Wiwat i Józef — cna kompanija.

Wycierała talerze czystą ściereczką, gdy ucha jej dobiegło szcęknięcie zatrzasku u drzwi frontowych.

— Pani wróciła — pomyślała Marysia i miło jej się zrobiło na wspomnienie dobrze udanych naleśników.

Zakrzętała się i za chwilę obiad stał już na



stole, a Marysia, założywszy ręce pod fartuch, stała u drzwi pokoju jadalnego i patrzyła na swoją panią.

Wicunia jadła dziś szczególniej mało, więc kochająca ją sługa smutnie pokiwała głową i lży jej nabiegły do oczu na wspomnienie dawnych chwil, gdy przy tymże stole siadywały cztery osoby, napelniając mały pokój gwarem rozmów i dźwięcznym śmiechem.

— Co więcej da Marysia? — przebudził ją z zadumy głos pani.

— Zaraz, zaraz, paniuńciu kochana, zaraz!

I drepnąc, pobiegła do kuchni, aby za chwilę ukazać się znowu z półmiskiem w rękach. Twarz jej była pełna namaszczenia. Postawiła półmisek na stole z największą ostrożnością i szepnęła z przejęciem:

— Naleśniki, paniuńciu...

Ale jakież było jej zdziwienie, gdy paniuńcia, spożywszy zaledwie jeden kawałek tego specjału, odsunęła talerz od siebie z westchnieniem.

Powieki służącej zaczęły drgać coraz silniej. Uśpione przekonanie, że pani jej wybiera się do klasztoru, odżyło na nowo. Zadając sobie gwałt, zapytała:

— Niedobre, paniuńciu, kochana?...

Głos jej był jakiś dziwnie pokorny i nabrzmiały łzami. Na dźwięk jego Zabłocka podniosła głowę i spytała łagodnie:

— Co ci jest, Marysiu?

Chude, kościste ręce służącej, drżąc, podniosły brzeg fartucha do oczu. Dało się słyszeć ciche łkanie.

Zabłocka zerwała się z siedzenia, otoczyła starą kobietę kochającemi ramionami i zapytała cichym głosem:

— Czego płaczesz, co ci się stało? Uspokój się, moja droga!

Dopiero po jakimś czasie Marysia zdołała opowiedzieć jej wszystkie swoje względem niej podejrzenia.

— I pani nie chce jeść, a te naleśniki takie są dobre, że pani już lepszych nie dostanie w klasztorze — dokończyła.

Zabłocka mimowoli roześmiała się.

— Pieścisz mnie, moja droga Marysiu — rzekła. Uspokój się, nie zostawię cię samej. Nie wiesz chyba, że wstępuję do klasztoru na pół świeckiego, panien Kanoniczek, a więc i ciebie będę miała zawsze przy sobie. Już my się pewnie nie rozstaniemy aż do śmierci.

— Daj, Panie Boże i Matka Najświętsza! — dokończyła z westchnieniem służąca.

— Ale naleśniki dziw, jak mi się udały — dokończyła proszącym głosem.

Zabłocka usiadła znów przy stole.

— Muszę zjeść chyba połowę z półmiska — mówiła, śmiejąc się. — Zanadto mi dogadzasz,

Marysiu, potem trudno mi się będzie przyzwyczaić do postów klasztornych.

— Nijkich tam wielkich postów niema — zaprzeczyła służąca. — Wiem ci to od mojej kумы, Jasinowskiej, która trzy lata u Wizytek za kucharkę była. Ale czy jest tam teraz aby dobra kucharka? Gdybym ja mogła osobno dla paniusi gotować — dodała, składając ręce błagalnie.

— Dajże spokój, moja Marysiu — odpowiedziała Wincenta — napracowałam się już dosyć, teraz czas ci odpocząć. Chociaż, zanim przeniesiemy się do klasztoru, czeka nas jeszcze robota nielada. Trzeba będzie posprzedawać wszystko, zebrać razem i spakować, wyprawę dopełnić, zrobić jeszcze to i owo...

Od tego dnia rozpoczął się w mieszkaniu Zabłockiej niezwykle ruch. Co chwila prawie wchodził ktoś obcy, ażeby kupić, albo tylko potargować jakiś sprzęt. Gdy wynoszono jaką pamiątkę rodzinną, której nie sposób było zostawić przy sobie, Wincenta musiała gwałtem hamować łzy, cisnące się jej do oczu. Nareszcie po dwóch tygodniach mała furka odwiozła parę najniezbędniejszych sprzętów i kufer z rzeczami Zabłockiej do klasztoru Kanoniczek.

Gdy wóz z turkotem potoczył się w kierunku ulicy Świętojańskiej, Wincenta odprowadziła go oczami, wreszcie, odszedłszy od okna,

rzuciła wzrokiem po ogoloccnych ścianach, na których gdzieniegdzie białeły prostokąty — ślady wiszących tu niegdyś obrazów. Podłoga była zaśmiecona. Krokom wtórzyło echo jakieś smutne, osierociałe...

Przeszła do kuchni i tu znalazła Marysię, która stała, obrócona twarzą do okna. Na ten widok i Wincencie łzy podeszły do powiek; ledwo wymówiła cichutkie „chodźmy“ i gdy zamknęła za sobą drzwi mieszkania, gdzie się urodziła, gdzie spędziła najpiękniejsze i najbardziej smutne chwile swego krótkiego żywota, taki żal porwał ją i łkanie zatargало pierśmi, że ledwie zeszła ze schodów.

Ale gdy przez rozżaloną jej myśl przesunęły postaci dawno odeszłych w zaświaty: ukochanej matki, ojca, oddalonego brata, Wincenta wstrzymała się od płaczu. Bo i czegoż żałuje? Kątów, do których przywiązała się, jak przywiązuje kot? Czyż nie bliższa będzie duchów swych drogich zmarłych tam, w sąsiedztwie cichej świątyni Pańskiej, w ciszy domu klasztornego?...

I uspokojona znacznie, łagodnym ruchem usunęła rękę służącej, podtrzymującej ją pod ramię — pragnęła iść o własnych siłach.

W klasztorze chwile słabości rzadko ją nawiedzały. Wkrótce potrafiła zyskać stanowisko wybitne: najstarsze kanoniczki otaczały ją wielkim szacunkiem, a młodsze siostry kochały ją jak matkę, opiekunkę najczulszą.

Ze schronienia swego nawpół klasztornego, nawpół świeckiego wydalała się Wincenta często, — codzień odwiedzała Ziemięcką, z którą razem uczyła służące<sup>1)</sup>, przeróżny drobiazg dziecięcy. W niedziele gromadziła się w mieszkaniu Ziemięckiej młodzież rzemieślnicza, a one obie, jak apostołki żarliwe, ukazywały tym robotnikom nieoświeconym szeroki gościniec chrześcijańskiego życia i zapoznawały tych braci swoich młodszych z dziejami rodzinnego kraju, budziły w prostych sercach miłość dla bohaterów narodowych.

Trzy te kobiety o umysłach wyższych i sercach szlachetnych: Zabłocka, Skimborowiczowa i Ziemięcka były jak trzy jasne promienie na tle szarzyzny, panującej wówczas w życiu społecznem naszej stolicy.

Skupiła te rozproszone promienie, tchnieniem swego silnego ducha, zmieniała w gorące ognisko entuzjazmu dla wszystkiego, co szczytne, dłonią mocną rozwarła przed kobietą naościę wrota życia umysłowego i społecznego, zrealizowała pragnienia tamtych trzech wielka poetka nasza — Narcyza Żmichowska.

---

<sup>1)</sup> Autentyczne.

## IX.

Nazwały się *Entuzyastkami*; zaczątek tego grona stworzyły: Żmichowska, poetka, pisząca pod imieniem Gabryeli, Ziemięcka, Zabłocka i Skimborowiczowa. Ale bardzo szybko rozszerzyło się ich koło. Kobiety o pokrewnych im sercach i dążeniach przyłgnęły do Entuzyastek, związały się z niemi trwałą przyjaźnią, wytworzyły jakby rodzinę liczną a doborową.

Z wybitnych postaci niewieścich weszły do tego grona: Zofia Mielecka, Emilia Gosselin, Faustyna Morzycka, Moraczewska, Siewielińska, Urszula Holcowa, Anna Domaszewska, Aniela z Rydzewskich Jenikowa i inne, oraz kilkunastu mężczyzn, z tych Hipolit Skimborowicz, mąż Anny, i Edward Dembowski — niepoślednie umysłami swymi zajęli tu stanowisko.

Nie wiążąc się pozornie w żadne towarzystwo, nie przybierając żadnych godeł, ku jednemu celom dążyli ci entuzyaści. Usiłowaniami



ich było, rozwijać w sobie siłę woli, hart duszy, odporność na życiowe pociski. Pragnęli stłumić w sobie wszelką małostkowość, egoizm. Młode ich serca oburzała martwota, bezmyślność, ospalstwo, zepsucie, które dokoła nich zaległo. To też koniecznie usiłowały Entuzyastki myślać, słowem i uczynkiem z tą powszedniością się rozgraniczyć.

Treścią ich rozmów były zawsze najwyższe zagadnienia ludzkości: doskonałość, postęp, wiedza, miłość, szczęście, zbawienie, Bóg. Same tylko wszechświatowe zajmowały je kwestye, same tylko szerokie poglądy i potężne tchnienia poezji romantycznej, wypiełgnowanej przez trzech wieszczów-geniuszów: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

W postępowaniu towarzyskiem chciały te kobiety przeprowadzić zasadę szczerości, prostoty, prawdy, uczucia, a skromności w ubraniu. Jedna drugiej wstydziłaby się okropnie, gdyby jej się pochwycić dała na jakiejś towarzyskiej obłudzie, na zalotności lekkomyślnej lub zbytku niepotrzebnym. Jedna z drugą współzawodniczyła w oszczędności, abnegacji, lekceważeniu mody, strojów, towarzyskiego powołania. Wystroić się — uważały za ujmę samej sobie wyrządzoną, za obniżenie lotu swego ducha. Więcej nosiły na sobie perkalików niż wełny, więcej wełny niż jedwabiu, a aksamitów nie włożyłaby na siebie żadna.

Tę patrycyuszki z ducha, szybujące zdala od wszystkiego, co płytkie, małe i pospolite, zbierały się najczęściej w domu Skimborowiczów.

Ach, jak im tam było dobrze! W pokoju, gdzie się gromadzili wszyscy, z boku pod ścianą był prześliczny kominek, niziutki, czarnym marmurem wyłożony — miał dokoła brązową galeryjkę, od staczania się głowien zabezpieczającą. Były dwie żelazne podstawki, na których się drewno układało, a drewno olszowe, takie suche, tak mało zostawiające po sobie węgla i popiołu, tak czyste, jasne, płomienne, że choćby tam kto z nich miał smutek na sercu, choć zgryzotę na sumieniu, — to przy ich blasku i myśli mu się rozjaśniły i droga zbawienia ukazywała. Pokój, w którym zasiadali, był duży, wysoki, o białych ścianach, dwóch gotyckich oknach, obwieszonych śnieżystymi zwojami muślinowych firanek. Na ścianach złociły się ramy kilku miejscowych krajobrazów, w głębi czerniał fortepian, meble pod ścianą zaogniły się karmazynem, gdy płomień zajaśniał żywiej, a o ósmej godzinie, trochę na uboczu ukazywał się stolik niewielki z całym herbacianym rynsztunkiem, ze szklankami, filiżankami i ze świecącym samowarem, który w miarę dorzucanych węgli syczał i warczał gotującą się w nim wodą. Im niepokodniej było na dworze, tem rozkoszniej lubowano się ogniem kominka,



ciszą pokoju i muzyką samowaru, — ach, bo im tam było dobrze jednym z drugimi,—bo kochali się wszyscy szczerze, szanowali ufnie, wierzyli sobie tak nieomylnie...”

Nadeszła niedziela z upragnieniem wyczekiwana przez Wincentę; wieczorem dnia tego mieli się znów zebrać wszyscy entuzjaści u Skimborowiczów.

Spojrzała na zegar; była dopiero godzina szósta po południu.

— Jeszcze dość czasu — pomyślała Wicunia — pójdę najpierw na godzinkę do Stępińskich, kilka lat nie widziałam Koci, trzeba się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

Ubrała się w swój skromny, czarny strój i długim korytarzem, na który wychodziły drzwi cel panien kanoniczek, podążyła ku furtce wyjściowej.

Na dworze było chłodno, marcowy dzień wilgotny i posepny chylił się ku wieczorowi, ulicami roili się liczni przechodnie, używając pory niedzielnej.

Zabłocka zboczyła w ulicę Senatorską i wkrótce dzwoniła już do mieszkania Stępińskich.

W domu zastała pannę Konstancję samą i we łzach.

— Co się stało, Kociu? czego płaczesz?—

spytała Wicunia z niepokojem, witając dawną koleżankę.

— Ach! *mon coeur est brisé*...—użalala się panna, do oczu chusteczkę batystową przykładając —Ale, *ma chère*, siadaj, pocziwa jesteś, żeś do mnie przyszła.

I przy tych słowach panna Konstancja posadziła Wicunię na malej kanapce i obok niej miejsce zajęła.

— Kociu, czegoś ty płakała? Czy, broń Boże, nie spotkało was jakie zmartwienie?

—I wielkie, i wielkie, mnie głównie, no, mama także odczuła *très profondement*. Zdziś bo jeszcze nic nie wie; on nie mieszka w Warszawie.

Wincenta zadziwiła się.

— Gdzież jest twój brat?

— On już od lat piętnastu przebywa zagranicą, zaraz w końcu 30-ego roku mama wyprawiła go do Lipska w obawie, aby się nie skompromitował, *tu comprends*, taka zawierucha tu wtedy szalała. W Lipsku się osiedlił, ożenił z panną Bertą von Seidlitz.

— Czy szczęśliwy?—spytała Zabłocka.

— Średnio, bardzo średnio... liczył, że więcej weźmie... ona sama cokolwiek od Żdzisia starsza, ale zupełnie osoba *correcte*, renta tylko mniejsza, niż się Żdzisio początkowo spodziewał; na ogół *c'est un mariage médiocre*...

Wicunia, słuchając, przyglądała się mówiącej.

Panna Konstancya zmieniła się, lata nie przeszły po niej bez śladu: twarz miała trochę przyciemniała, jakiś wyraz zniecierpliwienia osiadł na jej czole, coś, niby gorycz snuła się wokół ust. Właśnie ta gorycz jeszcze widoczniejszą stała się przy słowach, które teraz wymawiała.

— A my, panny, jesteśmy poprostu ofiarami, nic więcej tylko *des victimes* tego nieszczęścia, które w 31-ym na kraj sprowadzono! Tylu kawalerów wystrzelano, tylu wywieziono, tylu pouciekało, że większości nam grozi staropanieństwo... *une position*, przyznasz, *très ridicule!* Panna z mojej sfery w trzydziestu kilku latach *pas mariée!* mama aż więdnę z tego. Szczęściem przed paru miesiącami na jednym balu poznałam pana Konrada Gałęzowskiego, który znacząco począł mi asystować. *Un homme comme il faut*, ziemianin z pod Warszawy. Nie nadzwyczajnie mi się podobał, no, ale trudno, myśmy *des victimes*, trzeba się z tem pogodzić, — w braku laku dobry i oplatek. Jego *conditons matérielles* zupełnie mierne, ale i to strawiłam. Robił mi *la cour*, wszyscy uważali go już za mego konkurenta,—odetchnęłam. No, myślę sobie, przecie dopływam do portu! Darzyłam go sympatią, lada dzień spodziewałam się usłyszeć jego *déclaration*... Aż tu w ostatnich czasach zaczął bywać u nas rzadziej, coraz rzadziej. Struchlałam! Mama po nocach

nie sypiała! Wreszcie poszła mama do pani Wojczyńskiej, dalekiej krewnej pana Gałęzowskiego, a naszej dobrej znajomej z prośbą, aby ona w delikatny sposób wybadala swego kuzyna, ile można wyświetliła całą tę sprawę. I otóż właśnie wczoraj dała nam odpowiedź. Wyobraź sobie — z nagłym przypływem żalu wyrzuciła panna Konstancya — wyobraź sobie, co pan Gałęzowski przy indagacji powiedział swej krewnej! Powiedział: „panna Stępińska podobala mi się z urody bardzo, wesola przytem, a ja lubię wesołość. Tylko, że za bardzo się stroi, *imagine-toi*, tak powiedział — za wiele musi wydawać na swe ubranie, za dużo się bawi, więc ja boję się, bo jestem człowiekiem średniej zamożności, fundusze moje mogą nie wystarczyć na takie wystawne życie, a skoro przyzwyczaila się do zbytków od dzieciństwa, to teraz zapóźno odzwyczajając się. No, jak ci się to podoba?! Przecież nie mogę chodzić ubrana *comme une femme de chambre!* ani siedzieć w domu, jak zakonnica. Tchórz i niemądry, może pracować, to starczy na wszystko! Taka mnie teraz żalność ogarnia, tak się czuję *brisée*, powiem ci nawet w zaufaniu, tak mnie już zmęczyły te ciągle usiłowania, by się komu spodobać, że gdy pomyślę, iż znowu od jutra trzeba zacząć na nowo, to aż odczuwam *des nausées*. Patrz, ze zmar-

twienia nawet się dzisiaj nie ubrałam, zostałam w szlafroku, bo co chwila kładę się na kanapie, *et je verse des larmes amères*.

I przy tych słowach panna Konstancja przycisnęła znowu batystową chusteczkę do oczu.

— Kociu, nie płacz—rzekła wtedy Wicunia, obejmując ramieniem zawodzącą panienkę.

— Kobiecie nie uchodzą takie lzy, przed samą sobą nawet je ukryj. Skoro uczucia prawdziwego nie miałaś w sercu dla pana Gałęzowskiego, to i lepiej, że małżeństwo wasze do skutku nie doszło; jakaż rękojmia przyszelej w pożyciu harmonii, gdy nie wzajemna skłonność kojarzy ludzi? Otrząśnij się z tych małych, światowych kłopotów, czy panna, czy zamężna, zawsze jesteś przedewszystkiem człowiekiem.

— Jakim ja tam jestem człowiekiem! jestem poprostu panną na wydaniu, która wydać się nie może.

— Zapomnij o panu Gałęzowskim, zapomnij na chwilę o wszystkich waszych balach i redutach, a chodź ze mną między ludzi rozumnych, żyjących dla celów ogólnych, którzy chcą wyrzec się samych siebie, swych osobistych strapień i niedostatków, żyją pełną pierśią i szerokim oddechem, chodź Kociu ze mną do entuzjastów!

— Co?! kto? do kogo?

— Chodź ze mną do Skimborowiczów, —

tam zbieramy się, entuzjastki, wiesz, słyszałaś przecie o nas?

— Owszem, słyszałam, ale nie wiem, co o was sądzić; jedni was cenią, inni potępiają.

— Najlepiej sama się przekonaj, kto ma słuszość. Chodź, poznasz Narcyzę Żmichowską, to nasza chwała! Jak ta niepospolita kobieta umie rozbudzać uczucia i myśli, jaki ma urok tajemniczy jej dusza! Pokochasz ją od pierwszego wejrzenia — mówiła Zabłocka gorąco.

— Tam dużo osób zbiera się u Skimborowiczów?

— Kilkanaście, czasem więcej przyjdzie, czasem mniej, dziś chyba będą wszyscy w komplecie...

— A kawalerów dużo?—spytała Kocia.

Uśmiechnęła się mimowoli Wincenta.

— Są żonaci, są nieżonaci, — jeden filozof, drugi zapaleniec, trzeci mistyk, zależnie od źródła z jakiego czyja dusza wyrosła, a wszyscy razem i każdy z osobna niesie promienie swoich uczuć i myśli zbudzonych entuzjazmem dla wszystkiego, co wysokie — na wspólne nasze ognisko światła i piękna.

— Kiedyż to? dziś się tam zbieracie?

— Dziś, dziś, już po siódmej, czas nam iść.

— Ach, *ma chérie*, kiedy nie mam odpowiedniego ubrania, dopiero pojutrze Larisa odeśle mi nową suknię.



— Ależ my w codziennem, skromnem ubraniu tam się zbieramy...

— Aha, rozumiem, *genre anglais*; ja wprawdzie wolę modę francuską, ale skoro taki jest u was regulamin...

— Żadnego regulaminu nie mamy, Kociu—przerwała jej Wincenta—jakie kto ma ubranie, w takim przychodzi, ani nam na myśli powierzchność. Włóż co bądź na siebie...

— Nie, doprawdy, miej mnie za wytłumaczoną, dziś nie mogę się tam pokazać, płakałam, mam *le nez rouge*, oczy bez blasku...

— Kociu, Kociu, pocóż być taką niewolnicą, poco pętać sobie swobodę marnemi drobnostkami, trzeba być pod tym względem człowiekiem wolnym!

Ale wszelkie namowy Wincenty nie zdołały przekonać modnej panienki, raz wraz tłumaczyła się nazbyt zaczerwienionym od płaczu nosem i brakiem sukien z *genre anglais*. Wobec czego Zabłocka sama udała się na zebranie entuzjastek.

Otworzyła jej drzwi pani domu.

— A! jest i nasza Wicka!—zawołała na widok nowoprzybyłej.—Cieszcie się, cieszcie się, nikogo już nie brak—mówiła, głowę zwracając ku otwartym drzwiom bawialni, skąd dochodził gwar zmieszanych głosów—będziemy dziś wszyscy w komplecie.

Na powitanie wbiegł do przedpokoju gospo-

darz, Hipolit Skimborowicz, literat, dziennikarz, redaktor poczytnego wówczas *Przeglądu Naukowego*.

W gronie entuzjastów nazywał się „Dzieciakiem“, nie dla wieku, bo starszy był od innych, ale dla niekarnej pustoty swego ułożenia. Rozpierał się na wszystkich stołach, rozkładał na wszystkich kanapach, głośno krzyczał kiedy mówił, lubił ciastka, cukierki, bawił się puszczo-  
nym balonem i złapaną pod szklanek muchą, a przytem wszystkiem, jakby dla przeciwwagi, rozmiłował się w najnudniejszej, najcięższej nauce, w numizmatyce. Za jeden stary pieniążek byłby całe godziny spokojnie i prosto, jak panienka, na krześle siedział. Można mu było zabrać płaszcz, zegarek, czas i wesolość, można od niego było wszystkiego żądać, — uczyni i odda wszystko, byle mu tylko jego starożytności nie porozrzucić. Gadatliwy był, dowcipny, psotny, co miał na myśli, to mówił, ot tak zwyczajnie, jak dziecko, dla śmiechu, dla zabawy, nie zwracając uwagi, że inni, mniej go znający, obrażali się nań o to.

I teraz, ręce Zabłockiej ściskając, mówił na cały głos:

— Samowar szumi, ja chcę herbaty, są ciastka, a Andzia nic mi nie daje, tylko każe czekać na panią!

— No, już przyszedłam, już zaraz panu wszystko dadzą.



— E, ja sam sobie wezmę!

Weszli do bawialni, podniósł się gwar powitań, Skimborowicz z ustami pełnemi już słodczy, mówiąc coś niewyraźnie, podawał krzesło Zabłockiej, ogień trząsał na kominku, wesołość i swoboda ogarnęły wszystkich.

Istotnie nie brakowało nikogo: prócz znanych nam już entuzjastek były tu dzisiaj i dwie siostry Dzwonkowskie i Paulina Zbyszewska i Marya Boleska, był młody poeta, Teofil Lenartowicz, ksiądz Wyszyński, Karol Baliński i Aleksander Tyszyński, Majorkiewicz, Dembowski i—Narcyza Żmichowska.

Ta siadła właśnie obok Wincenty ze zwróconą ku niej twarzą. Piękną wedle modły klasycznej, ani nawet ładną w pospolitem pojmowaniu urody, nie była wielką poetką, ale miała powierzchowność niezmiennie charakterystyczną, był w niej jakiś wysoki majestat, ta niezwykłość ludzi wielkich. Mówiła zwięźle, jasno, często poetycznie, łącząc zawsze siłę rozumowania ze ścisłą moralnością. W chwili zapału, gdy mówiła, gdy patrzyła na kogo, w twarzy jej dokonywało się jakby przemienienie, stawała się wprost piękną, w oczach lśniących jak gwiazdy, ukazywał się wtedy tajemniczy a jasny promień, który z jej duszy do duszy patrzącego na nią wstępował.

Teraz właśnie oczy te patrzyły na Zabłocką.

— Mówisz, Wicuniu, że chciałaś nam tu kogoś przyprowadzić?—pytała żywo.

— Tak, owieczkę jedną chciałam przywieść na nasze szerokie pastwisko — odrzekła Zabłocka, śmiejąc się.

— A jak się ta nowa owca nazywa?—zawołał rozparty na kanapie Skimborowicz.

— Konstancja Stępińska.

— Ja tę pannę Stępińską znam, o nią starał się mój dobry znajomy, Konrad Gałęzowski — rzekł po swojemu, zwolna Majorkiewicz, odbierając filiżankę herbaty z rąk Anny Skimborowiczowej.

— Niech mi pan powie, jakiego to rodzaju człowiek—żywo i ciekawie spytała go Zabłocka.

— Bardzo zacny, pracowity, z gruntu prawy człowiek.

Tu ozwał się wesół głos jednej z młodych kobiet.

— Patrzcie, patrzcie na Wicę! te wszystkie klejnoty, wydobyte przez Majorkiewicza z duszy owego Konrada, zaciągnęły jej czoło zmarszczkami! Wiciu, dlaczego wyglądasz tak, jakbyś się czegoś zmartwiła?!

— Bo się zmartwiłam i to bardzo, że się na takim człowieku nie poznało, że może zmartnowało się szczęście dwojga ludzi przez upodobanie do fatalaszków, do zabaw, przez umiłowanie brukselskich koronek i lionskich atlasów...

S — Ej, mnie się zdaje, że tu nie puste upodobania zmarnowały szczęście dwojga ludzi, ale zmarnowali je ci, którzy chowają duszę kobiecą, którzy jej nie pogłębiają, nie otworzą, nie ogrzeją — rzekła Żmichowska.

A na to odpowiedział w myśl jej słów ksiądz Wyszyński:

— I ja tak samo sądzę, że nie skutki należy tu winić, lecz przyczyny; od rodziny trzeba żądać pracy wychowawczej, któraby całość stanowiła i szła w przyszłość i przyszłość tworzyła, biorąc rzecz od samych początków.

Rozplonęły oczy Narcyzy, gdy ksiądz Wyszyński umilkł, ona zawołała gorąco:

— Tak, to też przy kojarzeniu się małżeństw, przy zakładaniu podwalin przyszłej rodziny żądać trzeba nie tylko wzajemnej miłości, ale wzajemnego zrozumienia się i znajomości celu, który ma być osiągnięty. W małżeństwie powinna być wspólna czynność nad Zniczem domowym, uczciwość w domowych i pozadomowych stosunkach, narodowy kierunek nadany wszelkim sprawom życia, — a wszystko to razem wzięte, może dopiero wytworzyć atmosferę górno-rodzinno-obywatelską, wśród której zrodzone dzieci poczuć się mogą ludźmi i polakami w pierwszym zaraniu. Wtedy też uczucia moralne i narodowe rozwiną się naturalnie na płaciu krzepkim i wartością swoją bronić będą każdej przyrodzonej zdolności, każdego szla-

chetnego uczucia. Do dziecka żyjącego w takiej rodzinie zgubne wpływy, światowe płochości przystępu mieć nie będą; młodzieniec i dziewczyna, którzy wyjdą z takiego gniazda, zróżniczkują wartość wszystkich prądów, wiejących po szerokim świecie...

— Hej! galopem! galopem! zajęchałaś Narcyzko na wyżyny tak podniebne, że mało komu tchu starczy, by tam za tobą podążyć, a ty każesz pospolitym ludziom na szczytach żyć po codziennemu — odezwał się Tyszyński.

— Nie każę, ale pragnę — odrzekła Żmichowska — pragnę, byśmy wszyscy pracowali, jeśli nie w samej winnicy Pańskiej, to choć w jej pobliżu, aby kiedyś, w dniu sprawiedliwości Bożej, znalazło się przynajmniej pięć dusz takich, co by słowa Chrystusa na rzymskiej stali swego życia głęboko i czysto mieli wykute.

— Narcyzka to zawsze ludziom na ręce patrzy, by zobaczyć, czy też kto co niesie — zażartowała Emilja Gosselin — a tymczasem daleko więcej jest takich, którzy nie tylko nic nie przynoszą, ale nawet wynoszą ze wspólnej skarbnicy ludzkiego dobra.

— Ja dziś przyniosłem ciastka, więc jestem w porządku! — zaśmiał się Hipolit Skimborowicz.

— Ale Hip sam je zjada i nikogo do talerza nie dopuszcza — przycięła piękna pani Józefa

Kucharska, przełożona pensji, szkolna koleżanka Żmichowskiej.

I gawęda przy kominkowym ogniu, to szła poważnie, to biegła szalenie, skakała wesoło, aż znów zahaczyła o temat szerszy.

— Tyleście pięknych rzeczy powiedzieli o małżeństwie — zaczęła Emilja Gosselin — to teraz niech mi kto powie, komu potrzebniejsze pełniejsze serce, czy kobiecie, czy mężczyźnie?

— Mężczyźnie, żeby się kobieta miała czem pożywić! — zawołał znów Skimborowicz.

— A ja na pytanie pani Emilji — odezwał się młody poeta Lenartowicz — odpowiem słowami Gabryeli.

Na dźwięk imienia, którem podpisywała się pod swemi poezjami Żmichowska, żywo zwróciła głowę w stronę mówiącego.

— Tu Gabryeli niema — zawołała — na nią przychodzą takie chwile, że i pod uderzeniem kamienia nie wykrzesalibyście z niej ani jednej iskry. A ty, poeto młody, jeśli chcesz wzlecieć na Parnas, jeśli chcesz, aby w szum twoich skrzydeł wsłuchali się wszyscy, sercem do twoich piersi przylgnęli, — to wzoruj się na tych trzech, którzy nam dali *Anhellich*, *Kordyanów*, którzy stworzyli *Nieboską*, *Irydioną* i ten największy niebotyczny klejnot naszej poezji: *Pana Tadeusza*; — w nich patrz, ich słuchaj...

— I tej co za tymi trzema podąża — do-

kończył poważnie Lenartowicz z uśmiechem w oczach.

— Ale ja dotąd nie mam odpowiedzi na moje pytanie: kto powinien mieć pełniejsze serce — kobieta czy mężczyzna — znowu naprzykrzać się poczęła Emilja Gosselin.

Tu Lenartowicz poskoczył do Skimborowicza, rozłożonego na kanapie.

— Redaktorze, mój najdroższy, mój pocciwy — mówił — przyniosę ci jutro stary pieniążek, numizmat z czasów Adama i Ewy, ale otwórz swą redaktorską szufladę i daj mi rękopis *Poganki*\*), tylko ty jeden i ja drugi znamy ten wiersz o kobiecie, pomieszczony w *Pogance*, — daj rękopis, ja go chcę teraz wszystkim przeczytać!

Żmichowska oponowała, entuzyaści domagali się głośno odczytania wiersza, ostatecznie stało się według życzenia większości, — i po chwili z gabinetu Skimborowicza powrócił do bawialni Lenartowicz, niosąc z tryumfem białe, zapisane ćwiartki papieru.

— Za kilka tygodni wszyscy prenumeratorki „Przeglądu“ będą *Pogankę* czytali, więc my najpierw powinniśmy to usłyszeć, bo tu jest odpowiedź na pytanie pani Gosselinki.

— A kto będzie czytał?

\*) Najświetniejszy utwór Żmichowskiej.

— Dembowski, Dembowski — ozwano się z różnych stron, on ma najdźwięczniejszy głos.

Jakoż Edward wziął z rąk Lenartowicza rękopis, towarzystwo rozsunęło się tak szerokim kołem, że na uboczu nieco dotychczas siedząca poetka, stała się niby najglówniejszem jego ogniwem. Anna Skimborowiczowa kilka suchych drzewek przyrzuciła w kominek, aż płomień buchnął żywszym blaskiem.

Wtedy ozwał się męski, dźwięczny głos Dembowskiego.

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi  
Białe anioły z skrzydłami jasnemi,  
Które, gdy wezmą w poświęcone dłonie  
Serce człowieka, to je drogą świata,  
Ponad kałuże, błota i przepaście,  
Niosą bezpiecznie, czyste, nieskalane,  
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione,  
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane. —

A jam się pytał: gdzie anioły takie?  
A przy mnie wtedy matka moja stała,  
Włos rozgarnęła, czoło całowała:  
I rzekła tylko: — Tam synku maleńki,  
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie. —

O prawdę, prawdę matka powiedziała,  
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,  
I spokój serca i myśli tam w niebie,  
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.

Miłość kobiety — to świętość i cnota,  
Szczęście i siła — mądrość i natchnienie;  
Miłość kobiety — to pierwsza pieszczota,  
Co biedne dziecko na tej ziemi wita!

To pierwsza kropla pokarmu i życia,  
Którą niemowlę w głodne usta chwyta.  
To pieśń twej matki, którą ci kłęcząca  
Przy twej kolebce na uspienie nuci; —  
Miłość kobiety, to błogosławieństwo,  
Rada i wsparcie, którą Bóg ci daje  
Na długą podróż przez nieznane kraje,  
Po śliskich ścieżkach złych i dobrych losów. —

Miłość kobiety — to ręka podana  
W chwili złych myśli i pokus szatana;  
To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy  
Chęci szalone, żądze niespokojne,  
I namiętności nasienia zdradliwe,  
I pierwaj nim się w truciznę rozplenia,  
Nim święty serca skalają przybytek,  
Nim przejmą czysty ducha tego płomień, —  
Pierwej, chryzmatem uczucia święcone  
W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione.

Miłość kobiety — to nagroda twoja  
Przy trudnej pracy męskiego zawodu,  
To przy rodzinnem ognisku kapłanka,  
Błogich dni życia i uciech domowych!  
To głos radości, co na progu wita  
Wracającego z pośród obcych ludzi;  
To białe ramie, które szyję twoją  
Okrąży słodkiej pieszczoty objęciem,  
Kiedyś zraniony i wierzyć przestajesz,  
Że jeszcze takie serca są na świecie,  
Które ci żywszem biciem odpowiedzą,  
Gdy ręka twoja do nich zakołata,  
Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata, —  
To są te usta, co powiedzą wtedy:  
„Przebacz i kochaj, bo jesteś kochany.“  
To jest ta losu niemyślność jedyna,  
Co, gdy świat cały błotem cię zarzuci,



Gdy ty sam nawet skłóciś się z sumieniem,  
 Ona ci jedna zostanie i zawsze  
 Przychylne dłonie do ciebie wyciągnie.  
 I przed niechęcią ona cię otuli  
 W śnieżysty rąbek swej szaty niewinnej,  
 I przed zgryzotą ona cię zasłoni  
 Własnego serca boleścią i łzami,  
 I przed występkiem ona cię obroni  
 Swoją świętością i swemi prośbami,  
 Ty ku niej idąc, znów do nieba wrócisz. —

Miłość kobiety!—o ja z darów bożych,  
 Niech sobie tylko ten jeden uproszę —  
 Ja będę wielki, cnotliwy i święty,  
 Samolubnego rzeknę się starania  
 O własne zyski i własne rozkosze,  
 Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,  
 Wiele dobrego bliżnim moim zrobię,  
 I wiele złego bez szemrania zniosę,  
 Pobłogosławię tym, co kłąć mnie będą,  
 Uścisknę rękę, która cios mi zada,  
 Otrę łzę każdą, lub razem zapłaczę  
 Z każdym, kto innej nie chce mieć pociechy,  
 Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę,  
 Zapomnę siebie, — lecz niech o mnie święta,  
 Niech kochająca kobieta pamięta...

Gdy Dembowski skończył, nie ozwał się  
 zrazu żaden głos, milczenie dopiero przerwała  
 Wincenta, pełnym uczucia wzrokiem patrząca  
 na siedzącą w pobliżu zadumaną poetkę:

— Gabryelo—rzekła głosem stłumionym —  
 weź za ten wiersz z mojej duszy to, co jest  
 najlepszego...

Promienne, jakby natchnione oczy Żmichow-

skiej spojrzały przenikliwie na mówiącą, — po-  
 tem uśmiech zaigrał na ustach Narcyzy —  
 i rzekła:

— Dasz mi, Wicuniu, chryzopas, kamień  
 biblijny, bo twoja żarliwość religijna ściśle się  
 jednoczy z patryotyzmem i stanowi z nim nie-  
 rozerwalną całość. Dasz mi jeszcze twoją po-  
 nętną, pełną cichej godności uprzejmość, która  
 ci wszystkich serca ujmuję; dasz mi swoją mą-  
 drą pobłażliwość, twój niezachwiany, wyraźny  
 i stanowczy sąd o złem i dobrem; twoją nie-  
 wzruszoność przekonań, którą wielki wpływ  
 wywierasz, że przed urzeczywistnionym ideałem,  
 my wszyscy czołem uderzamy.

A ode mnie, co weźmiesz, Narcyzo?—zapy-  
 tała Ziemięcka.

— Kazia dostarczy Gabryeli karbunkułu, to  
 jest najświetniejszej ozdoby monarchicznych  
 godeł, dostarczy mi uczucia skoncentrowanego  
 w jednym wielkim ukochaniu Polski; da mi  
 czynność swą niestrudzoną, ukochanie ludu,  
 wobec żadnych zawodów nie słabnące...

— Weź co i ode mnie—zawołała Skimbo-  
 rowiczowa.

Miłości pełne oczy poetki zwróciły się na  
 słodkie oblicze pani domu.

— Ty, Andziu, daj mi mój najulubieńszy  
 kamień, daj mi opal, — daj mi jego barwy tę-  
 czowe, swoją wiarę do ludzi, bo ty o nikim  
 nie wątpisz, ty umiesz czytać tylko jasnymi

zgłoskami w duszy bliźniego; gdyby od ciebie zależało, toby nawet Judasz był kiedyś zbawiony;—daj mi Andziu, swą anielską dobroć...

I tak gwarzyli ci ludzie oderwani na chwilę od szarzyzny i małości codziennego życia, bujający po szerokich obszarach swych pragnień i usiłowań szczytnych, ci, którzy w tym małym, skromnym saloniku zdejmowali na chwilę ze swych ramion jarzmo ucisku, zapominali, że żyją w czasach, w których tak często za uczucia płaci się śmiercią. Tam, wokół nich, na zewnątrz, poza tym zacisznym domkiem była groza władzy tak wielka, że nikt skarcić głośno podłości, napiętnować odstępstwa nie śmiał; tam ludzie podusili w sobie myśli, wyrzekli się swych pragnień i tylko w głośnych zabawach, przy biesiadnych stołach szukali zapomnienia i ulgi—i stronili, nie pojmowali, lub kamieniem potępienia rzucali na to grono entuzyastów, którzy, hartowni duchem, jędrniejsi, ludzie ze stali wykuci, żarem cierpienia rozgrzani, stali wśród wichrów życiowych wytrwali, spokojni, a pewni swego nieśmiertelnego dzieła, jakim jest po wsze czasy dążenie do doskonałości.

## X.

I znów horyzont politycznego życia Europy zawlókł się chmurami; zbliżał się brzemienny w wypaki rok 1846. Ludy dojrzewały, poczucie prawa człowieka do wolności społecznej i prawa narodów do niezależności stało się jakby gwiazdą przewodnią, ku której znów dążyć poczęły narody. Dreszcz nadziei przeniknął wielu z tych, co żyli pozbawieni i tej wolności i tej niezależności.

Narazie zwrócono oczy ku Włochom, ku Rzymowi, gdzie na stolicy apostolskiej zasiadł papież Pius IX, sprzyjający narodom uciśnionym, popierający idee liberalne, ten, który jawnie potępiał gwałt i samowolę panujących.

Garstce polskich emigrantów, rozsypanych po Europie zdało się, że oto wybija godzina upragniona, że byle teraz wstrząsnąć całym narodem, a kajdany z jego rąk opadną. — To też liczni emisariusze krążyli w tym czasie po ziemiach polskich, wysyłani przez tak zwaną *Centralizację*, zawiązaną przez polskich wy-

chodźców z Paryża. Najszerszą czynność rozwinęli emisaryusze w Galicyi, jak również i w Księstwie Poznańskim,—byli i tacy, którzy docierali do Warszawy:—badano wszędzie grunt, przynaglano, ludzono. Jednak dążność do powstania była dla sprawy narodowej nader wówczas niebezpieczną i szkodliwą. To też nieliczne tylko zastępy zbrojne stanęły w Poznaniu pod wodzą Ludwika Mierosławskiego. Ci, którzy zagrzewali, którzy pobudzali do boju, liczyli na udział ludu wiejskiego, byli pewni, że chłop polski połączy się ze szlachtą, że w nadziei lepszego jutra, przelewając będzie krew ze swą bracią. Zawiedziono się okrutnie! Lud przybrał postawę groźną wobec zamierzonego ruchu,—a gdy rząd austriacki za pośrednictwem swoich urzędników począł w Galicyi lud przeciwko szlachcie podburzać, obalamując go kłamliwą wieścią, że szlachta zbroi się, aby przeszkodzić cesarzowi w zniesieniu pańszczyzny i w wyzwoleniu chłopu z pod przewagi panów,—przyszło do wybuchu straszliwej *rzezi galicyjskiej*. Lud ciemny rzucił się na obywateli i inteligencyę, wyrzynał, mordował w sposób barbarzyński bezbronnych ludzi: Tarnów, Bochnia, Rzeszów, Sambor, Sącz stały się wtedy widownią okropnych zbrodni. W Królestwie Kongresowem do żadnych wypadków nie doszło, jednak zaludniły się znowu więzienia, twierdze i klasztory.

Na gronie entuzyastów spoczęło również czujne oko policyi, w nich bowiem odbijały się teraz pragnienia, obawy, różne przekonania nurtujące duszę polskiego społeczeństwa.—Jedni, jak Dembowski, ludzili się zwodnemi nadziejami, które zatopiła, wkrótce w falach bratniej krwi rzeź galicyjska; inni, ze Żmichowską na czele, wierzyli, że tylko powołnem wywyższaniem się ludzkim, drogą cnoty i oświaty kraj nasz dojść może do politycznego i narodowego znaczenia.

Ofiarne serce Narcyzy nakazało jej czynnie przeciwdziałać zgubnym w jej mniemaniu dążnościom, to też po kilkakroć w tym roku przebywa z narażeniem życia granicę Prus i Austrii, niesie wiadomości, ostrzeżenia, pomoc.

Rozproszyło się koło entuzyastów i gorączkową stopą przebiegać poczęło różne gościńce, na których leżała praca dla dobra kraju. Droga, po której szli, zaprowadziła wielu z nich do więzienia, wielu na wygnanie. W roku 1847 w klasztorze Panien Wizytek w Warszawie uwięziono: Wincentą Zabłocką, Annę Skimborowiczową i Kazimierę Ziemięcką. Chociaż jednocześnie więzione, nie pozostawały w jednej celi, z początku nie wiedziały o sobie.

Kiedy dnia jednego Wincenta wyprowadzona przez dozorcę na półgodzinną przechadzkę po klasztornym ogrodzie, ujrzała niespodziewanie zdąła Annę Skimborowiczową,

serce jej ścisnęło się bólem. Myślała bowiem pełna nadziei, że inne jej siostry po duchu są tam jeszcze na swobodzie, działają, czynem zapelniają życie. Widok uwięzionej również przyjaciółki zbudził w niej jakby niespokojne nasłuchiwanie, czy tu, w tych murach więziennych nie brzmia jeszcze jakie głosy ukochanych?—Wkrótce ujrzała i umiłowaną swą Kazi-  
mierę Ziemięcką.—Nie wiedząc nawet wzajemnie o swych staraniach, każda z osobna usi-  
ływały zdobyć od władzy więziennej zezwolenie na skomunikowanie się, na jedną, choćby krótką rozmowę. — Ale płynęły dnie, tygodnie, miesiące, a prośby trzech entuzyastek wciąż przez dozorców odrzucane były.

— Ach — myślała z żalem Wincenta—gdyby tu był komendantem Niewodowski, toby na każdą z nas nakrzyczał, nakrzyczał, ażby się po całym klasztorze rozlegało, — a potem na dopełnienie kary za nasze naprzykrzanie się, wydałby rozkaz, aby nas we trzy razem zamknęto na dzień cały w najciaśniejszej więziennej kryjówce!

Z początku beczynność zabójczo działała na Zabłocką, przyzwyczajoną do pracy, do użytecznego życia, dusiła się wprost w tej atmosferze egzystencji biernej. Jedyną miłą chwilą dnia było dla niej wsłuchiwanie się w dźwięki dzwonków kościelnych, zwolujących co rano pobożnych na nabożeństwo. Myślą, wy-

obrażnią przenosiła się wtedy przed ołtarz i tam modliła się wraz z innymi.

Nareszcie po upływie kilkunastu miesięcy pozwolono trzem przyjaciółkom spotkać się w ogrodzie, w czasie wspólnej przechadzki. — Rzuciły się sobie na szyję, całowały we łzach, z ust ich padały krótkie, bezładne pytania i odpowiedzi. Tej i owej udało się przesłać i odebrać listy od przyjaciół; dzieliły się wiadomościami o burzliwym roku 48-ym. Oto *rewolucja lutowa* we Francyi wypędziła z kraju króla Ludwika Filipa i monarchię Burbonów zamieniła na republikę; oto przykład Francyi poruszył na starym lądzie Europy mnóstwo narodów, aż szcześnie oręże i popłynęła krew, znów ludy usiłują zbliżyć się do słońca wolności! We Włoszech, w Austrii, w Prusiech, wszędzie rozluźniają się więzy krępujące. Na Węgrzech wre powstanie! Tam tłumy polskiej młodzieży pod wodzą Bema przelewają krew za wolność obcych. A w Księstwie Poznańskim Mierosławski wiódł znowu do boju szeregi, znowu krwawa luna gorzała nad jedną z polskich dzielnic.

Kiedy dnia tego zamknęły się za Wincentą drzwi więziennej celi, kiedy pozostała sama, serce jej w przypływie uczuć radosnych jęło rozważać tę najdonioślejszą wieść, udzieloną jej przez Skimborowiczową, o zawiązaniu się w Berlinie *Ligi Polskiej*. Celem tej Ligi bę-



dzie zespolenie sił moralnych całego polskiego ogółu—ku rozwijaniu sprawy narodowej; dążeniem jej—związek braterski ponad wszystkimi stronnictwami. — A więc członkowie Ligi pod hasłem wspólnej miłości narodowej chcą chronić od upadku spuściznę pozostawioną nam przez ojców; chcą jakby dobroczynnem kołem otoczyć cały kraj, wspierać się wzajemnie, dopomagać braciom, oświecać, zachęcać do pracy, krzewić przemysł krajowy i wytwórczość miejscową, popierać handel i pracować dla wspólnego dobra. — Mają być przez Ligę zakładane banki, których obowiązkiem będzie niesienie materyjalnej pomocy pracującym; powzięto zamiar utworzenia przewozowych księgarń, któreby wsiom i miasteczkom niosły pokarm dla duszy i myśli.

— Więc uścisk braterski, więc miłość czynna — myślała Zabłocka, w wylewie uczuć dziękując Bogu za ten dzień swój jasny.

Plątała jej się i na usta co moment przechodziła strofka z jednego wiersza Gabryeli, — to też stanąwszy o zmierzchu w zakratowanym oknie swej celi, zaszeptała radośnie:

„Ja na tej smutnej, na tej świętej ziemi  
Tylko miłość zasiałem rękami mojemu  
I tylko miłość w cnoty wyrosnąć tu może,  
A biada temu, który inne rzuca zboże“.

Tak — rozmyślała Zabłocka, pogrążona w swej samotności więziennej—na naszej zie-

mi tylko taki posiew wzejść może, jako na swym gruncie rodzimym; serca mamy gorące, szczerłość jest nam wrodzona, odwagę i śmiałość posiadamy i pracowitości nam nie brak; brak nam tylko dotąd zawsze—bratniej miłości i wytrwałości: bo choć kochamy nasz kraj, ale nie kochamy naszych rodaków, — choć zapal dla dobrej sprawy po brzegi wypełnia nam czasami serca, — ale gaśnie szybko, jak płomień niczem nie podsycany. Dojrzałości posiadamy za mało, rozwagi, rozumu i silnej woli.

Daj nam ją Panie, choćby za cenę ofiar najcięższych. —

W jesieni roku 49-go dowiedziała się Zabłocka o uwięzieniu w Lublinie Narcyzy Żmichowskiej. Z dawnego koła entuzjastów nie wielu już pozostało w Warszawie, pozostał tylko posiew, przez nich wszystkich rzucany, bo hasłem tych ludzi były i następne słowa Gabryeli: „Gdy siał będziesz, nie lękaj się pełną garścią śmiałych życzeń przed siebie rzucać! — i tak, zaledwie setne ziarno się przyjmie! Jeżeli mało do ręki weźmiesz, po długich slotach i wichrach mroźnych, cóż się na gruncie rodzimym zostanie?“

Tematy rozmów, prowadzonych tak często przy kominkowym ogniu, stały się teraz materyałem do rozmyślań więziennych Zabłockiej, przesuwwały się jak nici jasne przez jej duszę, utwierdzając ją coraz silniej w tem przekonaniu,

ze jeśli każda na świecie jednostka ma obowiązek żyć użytecznie, to ten obowiązek jest jeszcze większy dla tych ludzi, których ojczyzna pozbawiona jest wolności, bo tam, na każdego oświeconego człowieka spada odpowiedzialność za ciemnotę klas niższych, tam każdy człowiek żyjący w dobrobycie powinien pamiętać o tych swoich braciach, którzy mimo pracy nie mogą zdobyć koniecznych do życia warunków. Rozumiała teraz jaśniej, że patryotą w jej kraju mienić się może tylko ten, który w szczupłym zakresie osobistego życia własną ręką sieje wokół to dobro, o które w innych krajach, żyjących niezależnie, troskają się ci, co dzierżą władzę najwyższą.

— Na wolność, na wolność! na swobodę! do pracy! — wołała Wincenta, wyczekując z upragnieniem godziny oswobodzenia.

Jakoż praca przysła jeszcze przed oswobodzeniem.

Dnia jednego, widząc troskę na twarzy swego więziennego dozorca, spytała Zabłocka o powód jego zmartwienia. Dziecko dozorca zachorowało, żona jego jest w szpitalu, przed kilku tygodniami złamała nogę, leczy się, już zdrowsza, ale do domu wrócić jeszcze nie może; a tu dziewczynka najstarsza, opiekunka młodszego rodzeństwa, zapadła od dwóch dni, w gorączce leży, doktor więzienny zapowiada długą chorobę. Cóż on, ojciec, zrobi teraz?

Na służbie cały dzień, a w domu drobiazg bez opieki, i tamta biedaczka chora...

— Zaprowadźcie mnie do dzieci — rzekła wtedy Zabłocka — czy tu, czy tam, będę jednakowo w więzieniu, a tam u was zaopiekuję się dziećmi.

Dozorca podziękował i ofiarę przyjął. Odtąd dnie całe spędzała Wincenta w małym mieszkanku dozorca, doglądając chorej, — uczyła przytem młodsze dzieci, obszywała je, naprawiała im ubranie, pogoda i spokój wróciły do jej duszy.

Kiedy po paru latach na rozkaz władzy miała być przewieziona do więzienia w Ibramowicach, — i dozorca i rodzina jego ze łzami żegnali opiekunkę swą dobrą.

— Kochajcie Polaków — szeptała Wincenta, całując, garnący się ku niej drobiazg — i nie czyńcie im źle.

W Ibramowicach przebyła czas dłuższy, gdy ją wreszcie wypuszczono na wolność, wyniosła z więzienia zaród choroby śmiertelnej.

I znowu zamieszkała w klasztorze panien Kanoniczek, znowu połączyła się ze swą Marysią, wyczekującą z utęsknieniem powrotu ukochanej panienki.

Ziemięcką tylko zastała Wincenta w Warszawie, Skimborowiczowa bowiem razem z mężem przebywała teraz w Kijowie, a Żmichowska w Lublinie.

Żywo i jakby z obawą zmarnowania, by najmniejszej chwili wzięła się Zabłocka do pracy pedagogicznej. Ile tam dzieci bezdomnych nie mogło się pomieścić w Jachowicza ochronkach, tyle ona uczyła u siebie. Istną szwalnię założyła w swem mieszkaniu; co wieczór szyla z Marysią koszulki, ciepłe spodniczki, robiła chusteczki, pończochy dla opuszczonych, małych polskich dzieci.

Taką pochyloną nad pracę wychowawczą, pełniącą dobroczynność chrześcijańską, zastał Zabłocką rok 63-ci.

Na wieść o nowych wstrząśnieniach kraju już Zabłocka nie podniosła głowy, nie nasłuchiwała skąd idzie pobudka, nie pytała, nie wyczekiwała już niczego w niespokojnych bieliach serca.

— Nam pozostała teraz praca samarytanina—szeptala sobie w duszy—gojenie ran ojczyzny, krzepienie jej sił materyalnych, dźwiganie na wyżyny jej ducha. Gdy będziemy silni, mądrzy i dobrzy, wtedy wybije godzina wyzwolenia.

I lata szły, i uciekało życie; płucna choroba coraz silniej opanowywała organizm Zabłockiej.

— Już koniec, już koniec—szeptala często—już kaganek mojego życia się dopala.

I na oczy poczęła zapadać; przy lekcyach ze swemi małemi uczennicami coraz rzadziej posługiwała się książkami; ustnie prowadziła z niemi naukę.

Coraz więcej czasu spędzała na modlitwie.

— W daleką podróż sposobi się moja dusza—myślała i jakby z oddalenia, jakby z wysokości zbliżającego się odlotu patrzyła teraz na życie swoje.

Dziwne; smutki przebyte, te lzy wyciśnięte z jej oczu, wszystkie ciernie, które kaleczyły jej stopy w życiowej wędrówce, teraz nie żal, lecz radość budziły w jej duszy. A gdy dowiadywała się, że ta i owa z jej uczennic powędrowała w świat, jako pracownica nowa, jako istota samodzielna; kiedy słyszała od siostr Kanoniczek, komunikujących się ze światem, że teraz więcej tam rozumnych i poważnych kobiet, mniej dziewcząt pustych, mniej w świecie płocności: i radowała się Wincenta, bo czuła, że to są nowe płonki, z posiewu entuzjastek wschodzące.

Nadszedł rok 1874-ty. Styczeń dobiegał do końca, mroźna, jasna zima szła wówczas po ziemi. W południe dnia jednego weszła Marysia do pokoju Wincenty, pochyliła się nad jej łóżkiem i rzekła:

— Pani Julia przysłała, list do panienki przyniosła od panny Żmichowskiej...

Żywo uniosła się Wincenta na poduszkach.

— Proś, proś, Marysiu!

Po chwili weszła do pokoju jedna z entuzjastek, trzymając w ręku kwiaty i list. Pocałowała przyjaciółkę, i stawiając doniczkę z kwi-

tnącą azalją na stoliczku obok łóżka, powiedziała serdecznie:

— To od Narcyzki, na dzień twoich imienin.

— Ach prawda, jutro moje imieniny... dziękuję wam, moje drogie. Przeczytaj-że mi zaraz jej list...

Przyjaciółka spełniła żądanie.

20 stycznia 1874 \*).

Wysyłam powinszowanie moje pod adresem Juluty, dlatego, żeby ci je sama odniosła i przeczytała, jeśli ci na to własne twoje biedne kochane oczy nie pozwolą. Staram się jednak pisać wyraźnie i dość dużymi literami, a jeśli wszystkich nie odgadniesz, to przynajmniej te dojrzysz zapewne: Narcyzka swojej drogiej Wicuni, zamiast życzeń, które się nigdy nie spełniają, przesyła jedno z najlepszych wspomnień przeszłości razem spędzonej.

Ale jakieby to wspomnienie! Czy to, gdym po raz pierwszy z rana, bodaj nie przed herbata, przyszła do ciebie? Nie, to był dobry początek dopiero. Czy to, kiedyś mnie zabrała do siebie z Bednarskiej ulicy—kiedyśmy czytywały, gawędziły, dowiadywały się o sobie coraz więcej? Nie, były potem lepsze chwile. Gdyby choć te wybrać, kiedy was u siebie przyjmowałam pierogami z czarnych jagód.

\*) List ten (autentyczny), pisany przez Żmichowską, wyprzedził na dni kilka śmierć Wincenty Zabłockiej.

A była Andzia, Antosia, Majorkiewicz. Pamiętam, dowodziliśmy bardzo głośno o tem, kto z nas pijak największy, a stało na tem, że Wicunia najtrzeźwiejsza. Były i u ciebie wieczory, dobre, pamiętne... Leczą jakże tu dać jakiej chwili pierwszeństwo nad tą chwilą, gdy cię pod kratką z okienka mojego nad amboną, widziałam w konfesjonale siedzącą — lub gdyś przyjechała do Lublina, lub gdyś u Andzi słuchała tego biednego wiolonczelisty\*), co tak wczesnie umarł. Jak widzę, nie wybiorę dzisiaj, a trzeba się śpieszyć, bo chciałabym dziś list wyprawić. Słowa jednak nie cofam, tylko tobie, Wicuniu, ocenienie wartości zostawiam. Moja droga, moja smutna! moja razem ze mną za braćmi tęskniąca, razem ze mną wiedząca, jak to dawniej było. Żegnaj mi, do widzenia, nie nagawędziłybyśmy się z sobą, choćbym przyjechała, bo ty mocno, a ja trochę—lecz obie teraz kaszлемy. Staraj się być jaknajzdrowsza na mój przyjazd, bo juścić kiedyś przyjadę—właśnie o tem do Julii pisałam, tylko jeszcze nie wiem ani dnia, ani godziny!

Pozdrów też swoją Marysię; powiedz, że jej twoich imienin winszuję“.

Kiedy pani Julia skończyła list czytać, Zabłocka powiedziała:

\*) Majer.



— Już ja Narcyzce sama nie zdołam podziękować; ty Juluto, powiedz ode mnie Gabryeli, że jej zawdzięczam dużo, dużo chwil pięknych w mem życiu i że ją kocham, jak się kocha światło...

Zcicha gwarzyły jeszcze obie dawne entuzystki, dzieliły się wiadomościami o przyjaciółkach, pod wieczór rozstały się, pożegnawszy serdecznie.

A było to ich ostatnie pożegnanie.

W parę dni później przyjęła Wincenta Zablocka ostatnie namaszczenia.

Pogodna była, uśmiech drżał na jej blednącej twarzy, żegnała otaczające ją siostry kano-niczki i swoją wierną Marysią — i spokojnym, ufnym wzrokiem patrzyła na stojący w pobliżu krucyfiks.

Pod zmierzch słonecznego dnia, kiedy purpurowe luny rozwlokły się na zachodzie, i ci-chością stało powietrze, oczy Wincenty po-częły się przymykać. Nie czuła tego, prze-ciwnie, zdało jej się, że raczej przebudza się jej dusza ze snu pielgrzymki ziemskiej, że wy-raźniejszy prawie jest teraz dla wzroku jej du-cha ten świat, ku któremu się przybliża. Oto-czył ją jakiś przestwór świetlany i kryniczny, jakby rzeźwy oddech, swobodny i wysoki jał unosić jej duszę; nie wiedziała ani czuła, że oto jednocześnie sztywnieją jej członki, i cięż-kie, chłodne powieki spuszcza ją na oczy

KONIEC.



5152  
1425